

ZDROJ



*Dwutygodnik ilustrowany
poświęcony Sztuce i Kulturze*

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULĘWICZA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Osteja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Przedstawicielstwo redakcyi na AUSTRO-WĘGRY: PROF. JAKÓB GESZWIND, WIENEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek

Zeszyt pojedynczy 3 marki. — **Prześyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACYA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — **Redakcyja** nie wdaje się w dyskusye na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULTZ W POZNANIU

Nowa ul. 8., w Bazarze.

Tel. 1004

Rok założ. 1873.



„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1879

w Poznaniu

Rok założenia
1879

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na
posag z rewizją lekarską i bez rewizyi

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie
— od spłaty składek i płatność renty —

Nizkie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się
— i w czasie wojny —

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31
Agencye specjalne w każdym większym mieście.



zastawia z członkami wszelkie interesa bankierskie.
Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.
Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacya
kapitałów.
Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat
i wypłat.
Udziały członków przynosiły 8 procent dywidendy.
Wkład oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia
pieniędzy po 3, 4 i 4% procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalska).

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Poeta a świat — Adam Bederski (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Z „Samuela Zborowskiego” — Juliusz Słowacki.
U poetów — Miriam (przyozdobił Orsza). Opowieść rybaka (powieść — C. D.) — Wacław Berent. Powrotna fala —
Stanisław Przybyszewski. Z mistyki Eckharta — Jadwiga Przybyszewska. Anima mundi (DOK.) — Jadwiga Marcinowska.
Rondo wiosenne — Stefan Stasiak. Listy Literackie — Jan Lorentowicz. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyt I. i II. — Stefan Szmał. Akt (drzeworyt) — Jerzy Hulewicz.

POETA A ŚWIAT.

ŚWIATU.

(W odpowiedzi na list otwarty do W. Gomulickiego.)



Oto godzina jasności tępej i bolesnej przepaści
ostatecznego oportunizmu, że tak, jak jest, być
musiało, i dobrze jest,

Godzina świadomości, że w ponurej kakofonii czło-
wieczych celów, mimo jaskrawość krwawą, je-
steśmy i my, oderwani, koniecznością aż nader
codzienną.

Czemuż więc rozkiełzywać ów stary, okrężny śpiew —
drama odwieczne —

Pocóż duszę kałać stwierdzeniami beznadziei, brzę-
kadłowym rymów zasię Arlecchinom twardą i złą
myślą wydzierając bólu maskowego dogodność —

Pocóż etymologią społeczeństwu w twarz bryznąć, że jednego jest źródła z po-
spółstwem —

Pocóż wreszcie ku hańbie stuleci odnaleźć, że światowa (świećta, świetlista) klątwa
sejów prometejskich w sygnie się rozpromieniła robactwo, na sztandarach
niosące znak: Legio (czytaj, mózgu lemański; prawość) —

MILCZMY

— nie księżycem stargani Pierroci, ni purpurowych naw sobą obłądni żeglarze —
lecz życia świadomi i pełni Starcy, starczą traceni ślepotą ludzi, co przejrżeli.

I IDŹMY

— już nie ku Zbawienia Szczytom lub Rajom utraconym, tylko precz rzu-
ciwszy potworny kłób natrętnych przedmiotów,
krwawiący i smutni

PRZECHODŹMY

ponad rechoczącymi bajorami królestwa ziemskiego

samotnie

ku

bezwzględnie i litośnie

NIEWIADOMEMU.

(Tym, co wokół nas są, jedno:

wzgardliwy pocałunek ludzi, co świat jednakże ukochali.)

POZNAŃ.

ADAM BEDERSKI.



Z „SAMUELA ZBOROWSKIEGO”

Sztuka: rzecz to wielka,
Narodów całych często zbawicielka,
Przechowująca na dnie duszę duszy —
Lecz kto kamienia gdzie z ruin odkruszy
I krzyczy: Patrzcie, pięknoty kaganiec!
A nie wie, że ten kamień to wygnaniec,
Bez żadnej mowy, a mściwy jak węże
W kącie gdzieś czarny, milczący załężę,
Piękności tęcze na nici rozprzędzie
I drugiej duszy szatańskiej dobędzie,
I tą fałszywą formą ciągnie śladu,
Kto taki kamień i takiego gadu
Przyniesie, winien jest sądu i piekła...

JULIUSZ SŁOWACKI.

U POETÓW.

POEZYE.

J. W. GOETHE.

*Poezje są jak świątyni barwne szyby
Z rynku gdy patrzeć przez kościelne drzwi,
Wszystko w mroku ledwie się znaczy;
I tak też Pan Filister patrzy:
Czyż dziw, że może być i zły,
I złym pozostać bez ochyby.*

*Lecz wstąpcie raz za próg tych drzwi!
Kaplicy świętej się pokłońcie;
Wnet blask, jaśń barwna w każdym kącie,
Ornament, treść — jednako tkną cię,
Drgnie życiem twórczy pozór cny;
Dziatwę was Bożą czar zuroczy,
Budujcie się i syćcie oczy!*

D O D Ź W I Ę K I.

JÓZEF EICHENDORFF.

*Łagodnych dni jesieni!
Jak fantastyczny szlak
Państwo się twoje mieni,
Tak barwne, blade tak!*

*Tak puste łąki, gaje,
Bez ludzi, zjęte snem!
Ledwie je odpoznaję
W osamotnieniu tem.*

*Przedziwne takie cieką
Pieśni z twych bladych ust,
Jest mi, jakby się lekko
Głęb' otwierała bruzd,*

*Jakbym już leżał w ziemi,
Twój śpiew potężniał, rósł,
I liśćmi mię złotemi
Gaj zasypywał brzóz.*

N O C A.

*Na borów stoję skraju,
Jakby to życia był skraj;
Jak srebrny wąż — wstęga ruczaju,
Jak mroczny kobierzec — kraj.*

*Z oddali zkadś biją dzwony
Ponad lasami aż tu;
Wzniósł głowę rogacz spłoszony
I znów się ułożył do — snu.*

*Lecz bór się chwieje w błękitach,
Nad urwą skalną, przez sen,
Bo Pan przechodzi po szczytach,
Kraj błogosławiąc ten.*

P Ó Ź N E W E S E L E.

*Już miesiąc zaszedł — wreszcie czas! —
Zsiadł z konia młody pan,
Niejeden dziewosłębil raz,
Aż w gród mu przystęp dan.*

*Tam w sali tron w djamentów łzach,
W nim panna młoda śni;
Z klejnotów jej na mroczny gmach
Skrzą długie, krwawe skry.*

*Wkrąg bladych giernków niemy huk
I cichych gości tłum.
Budzi się dziewa ze swych snów,
Powstaje blada z dum.*

*Odrzuca w tył szal złotych żarz
— Rozkoszy zbiegł go dreszcz! —
W pierś wpił mu się, do serca aż,
Jej zimnej dłoni kleszcz.*

Z „GAZEL”.

AUGUST PLATEN.

107.

*Przed wrzącą pełnią życia staję często struchlały,
Jakby mię gwiazdy z nieba wszystkie zasypywały:
Tysiącem form wspaniałych świat drażni moje oczy,
Gdzież skryć się, jako Saul, od ciężnej ich nawały?
Te badań labirynty! form czarnoksiężstwa w sztuce!
Wszech ludów czyny, sagi! gór, borów, mórz choraty!
Wichurą pierś mi wzdyma żądza nienasycona
Tych skarbów, gdzie miłości, rozkoszy powód stały.
I zginąłbym; lecz oczy, w punkt skupiwszy się jeden,
Wszecht্রেć piękną tajemną odkryć wreszcie musiały.
Od zjawienia się twego cóż mi dawne tułaczki
Po wszech nieba zaułkach i po ziemi tej całej?
Wirem pian, pyłów bucha źródło młodości ze skały,
Aż go basen miłości ujmie w mir wysrebrniały.*

33.

*W korowodzie idziesz tańce, ale nie wiesz, co w tem jest;
Cieszę cię poety stance, ale nie wiesz, co w tem jest;
W nieprzezroczym białym głazie widzisz kształty ludzkich ciał,
Lśniąco z wnętrza jak kagańce, ale nie wiesz, co w tem jest;
Żłoci się jak granat słońce, pomarańczą miesiąc lśni
W chmur srebrzystej wokół piance, ale nie wiesz, co w tem jest;
Winna łoża kołyszącą w pjane sny cię poi krwią,
Miłej równa dzieciąt niańce, ale nie wiesz, co w tem jest;
Niby kołnierz, liść palm brzozy ziemskiej szaty górny okraj,
Sosna — frędzlą na jej krańce, ale nie wiesz, co w tem jest;
Szatry gwiazd, rynsztunki kwiecia ślepią ci, radują warok,
Dolin łoża i gór szanice, ale nie wiesz, co w tem jest;
W karmicielki-matki tonie, które ssie jej wieczny syn,
Drżąc bólu widzisz lancę, ale nie wiesz, co w tem jest.*

MIRIAM.



WACŁAW BERENT.

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



a ciemnymi basztami grodu czernił się pod gwiazdy ogrom kościoła. Rzekniesz, z dwóch szczytów tej góry, z wieżyc obu rozpostarł się płaszcz nocy i, skrajem o mury miejskie za nieboskłon wsparty, nakrył gród topielą granatu i złotemi gwiazdy, — duszom na schron bezpieczny, snom nawet człe.

czym za kopułę uciszeń.

Odpustową bo porą nageściło się w mieście ludu co niemiara — z za murów, z wszelakich oddali. I naniosło w dusze niepokojów z szerokiego świata. Ochraniał je kościół płaszczem grodzkiego widnokręgu, usypiały głuche rogi stróżów i te ich baszwe nucenia, błogosławiące ciszę i spokój dusz.

A jednak tu i owdzie wychylała się z okna głowa bezsenna. Gdzie spojrzy, dachów płachy i granie w ciemnościach zadrzemiały; wyżej już tylko złote oczy powietrznej głębinie nad bezkresem świata.

Urzekło dziś tęsknotą niejednego człeka, zatargało niejednym łańcuchem. Rwą się w światy nieśtatki młode i złu duszę zaprzędać gotowe — byle na gościeńce, byle w światy dalekie! Przez mury i rowy miejskie jak kot przeleźć gotów każdy z zaczątków grodzkich, gdy poczuł w sobie dar do igrzysk, lub gorliwość do nauki. Za bramą, — myśli, — u dróg rozstajnych zbierają się pewnie stare igrzyska, oraz żaki ze wszystkich szkół świata zbiegłe, — ci wiedzą: gdzie, jaki mistrz, jakiej wiedzy uczy? A z nimi wolna droga — w światy dalekie, we wszystkich królów ziem!..

Na ulicach grodu pusto było i głucho. Tylko z wieżyc a baszt hukaly sówki ponurym śmiechem po nocy. Tylko nietoperze miotają się wokół tych głów młodzieńskich, tam i sam, jakby nici uroku snując niewidne, jakby znaki zaklęcia kreśląc w powietrzu. Kto zaś gadkom o rybałkach wiarę dawał, temu zdywowały się jakoweś wyłoty z kominów dalekich. Ale dobrze ich nikt nie rozpoznał, bo za przeżegnaniem się ginęło to z przed oczu.

Pod płaszczem gwiazdnej ciszy, w surowej porozie kościoła, zło samo siadło dusze kuszeniem na tułactwo.

„Przekłete niech będą waganty i sztuki ich wszystkie! Przekłete niech będą powieści żonglerów!“ — złorzeczył na swem łożu każdy człek stateczny w trosce o dusze młode.

A gdy chmura dymu buchnęła nad dachy i zakolowała się w rudych kłębach pożogi, gdy luna naświetlać jąła ulice, a po oddalach zagrały rogi na trwogę, — ludziom statecznym wydała się i ta ponurość chwili czemś oczekiwanem prawie. Dzień był nad miarę rozpustny, noc zaś jeszcze gorsza — tą gorączką wśród młodzieży, porywaniem się jej na ojców z gębą buntu pełną, odgrążaniem się jakowymś rozruchem, który gotuje się w grodzie.

Zas te ludzisk pośpiechy ze stagwiami lub ciężkimi kuby, — ich dziwnie pocięte postaci, wynurzające się z mroków w mruganie czerwonego blasku, — wzniewały przypomnienie dusz czyscowych pod brzemionami pokuty. A cóż dopiero białe-czarnych mnichów nagle zarojenie się na ulicach! Niejeden domini canis biegł z nosem tropiącym i chwycił w nozdrza zalot diabła w grodzie, gorsze jeszcze pomsty boże obiecując Sodomie i wysłańcom szatana, — co oznaczać miało: grodowi i wagantom.

Przychem wskazują groźnie na kościół w oddali.

I naprawdę: podświetlone luną poczerwieniały jeszcze bardziej obie wieże, zaś tum cały wydaje się teraz, ni to w górę zaklęty olbrzym, który na kolana padł i przeżył ku niebu ramiona oba, pomsty nieba wzywając na miasto grzeszne.

A niedaremnie, ponoć. Co chwila odbłask pożaru błyskawicowem rozdarciem nocy pada na kościół szczyty. A w rozwidniony zagnęła zacień onych krążanków i podcieni na wyż, pod łukowe wystrzeżenia wnęk, wstępując blade mary kamieni żywych. Ocknięte grodu popłochem, ruszyły snadzi i święte postaci z pod baldaszkowych nyz, — snują się z paciierzem po błędnikach wież, zagnęły w stronę ognia dom Boży... Tak rozdarł się gród, a mu-

rów, gęstwa tajemniczych po nocy cieniów tumanu; aż ocknie się i zło samo na poniżu: podejmie to kruczy-sko, przycupnięte na okapie. I załopocze tem skrzydłem jego — od łuny krwawem.

„W imię Ojca, Syna i Ducha!..“

Tak się zęgnął co chwila przedewszystkiem ten, który leżał oto powalony na ostatnich stopniach kościelnych schodów, ociekając po nagim grzbiecie strugami krwi. Zczerniał od tej posoki i biały sznur franciszkanina w skurczu dłoni. Bokiem rzuciło brata na schody, w tej rozpacz może, iż za późno temu na pokutę, kto za kobietę skarbonkę klasztorną diabłom oddał. Już taki nawet myślami swemi nie włada, bo i pokutę nawet temi obrazami mąci, jakie mu diabeł w uszy naszeptuje.

W ustach biczownika belkoce się jeszcze jakiś szczałek pacierza, choć ani jeden płomyk jaśniejszych wyobrażeń nie rozświetla mu tej przepaści, w jaką strącony będzie, owca zbłąkana: przyjsz mu wszak kazała Pani do siebie. A dusza, w przeczuciu zatracenia, wspominać mu każe wciąż oną chwilę, gdy rycerz pocałunkiem ust swoich wzniósł mu w piersi grzech swój, — potężniejszy snadź nad wszystkie pokut moce.

Bo za każdym zelżeniem ręki wraca przypomnienie onej chwili, gdy z pod białofutrzaney szaty na złoty łuk strzemięcia wychynęła się łasicą, stopka Pani, a za nią, jak ten wąż z pod spódnicy ukrycia, wypręża się zgnąta jej tydka śmigła.

W spomnieniu zaledwie ośmielał się zobaczyć, co wówczas do obejrzenia było. Po raz setny wywoływał i odrzucał od się to kuszenie. Aż się targnęły oba kulaki mnicha na wszystkie w myślach kobiety:

„Bestiae bipedales!.. Viperae pes-simae!..“

A szatan śmieje się z tych szamotań swego łupu pod pazurem kobiecej chuci.

Bunt podjął wreszcie kark mnicha i wysztynił go na klęczkach. I za pacierze, które stygły na wargach, przyniósł mu tę przestrógę świętego Augustyna: „Nie dawaj duszy swej kobiecie!.. De car-ni-bus tuis abscinde illam!“

Poderwało się ramię. A co śmignie sznur i uderzy w krwawą już na grzbiecie płuchę, nowy węzeł zadzierga mnich na nim zębami, by się do żywego mięsa dosmagał, diabła samego w ciele dochłostał.

„Fratel!“ — usłyszy nagle nad sobą jakby pod bębnow głucho nagle uderzenie.

I ręka od szponu mocniejsza powściągnie mu ramię.

„Fratel! za co ty mnie tak smagasz? Ja na twą duszę jeszcze nie nastawiałem. Kogoż bo tu wlec

do piekieł? Z kim się tu borykać? I o co, duszo mizerna? Ty skaczesz w smołę ognistą sam, a głowa w dół, jak ta żaba w bagno. A zmaganie się z duszą, z rozdwojoną w człeku żądzą, jest naszej natury potrzebą. Bacz, jakoś to poniżył w sobie rycerski grzech pana Lancelota, który — przez żonglera opowieść, a serce skazanego rycerza — wzięteś na się w pocałunku warg jego!.. Przypomnij: bez grzechu tęsknoty ku kobiecie możeby nawet i Lancelot sam nie pokonał wielkoludów i nie wyzwoił grodu. Tyż się twarzą od łuny odwrócił: „niechby i gród cały spłonął, tu ważniejsza sprawa duszy własnej“. — Wiedźże, jaka jest różnica między zagwieniem się, a płomieniem: między grzęźnięciem duszy osiadłej, a potykaniem się tułaczey: między mieszczanami grodu, a wagantami ze świata... Gdy myśli o kobiecie odsmażyć od się nie możesz, — wyświećże siebie wraz z tym diabłem z grodu! — rusz zastygłą w żyłach krew normana! — zerwij klasztoru okowy! — idź na wędrowanie!“

Oslania mnich piersi rękoma w krzyż, mamrocząc cicho wszystkie zaklęcia i zażegnania.

Jakoż znikł cień czerwony wraz z tym blaskiem łuny, który zatłumił się nagle — jakby tam, w oddali, dach zapadł się na ożogę. Po ciemnym grodzie wyły tylko rogi, ni te psy na złego ducha. A spóźniony dzwon kościoła teraz dopiero się odezwał. Kołysany snadź obcem, nieporadnym ramieniem, targał się ciężko — złym pomrukiem ruszonego po nocy śpiżu. Z ciemnej wyży, słyszy mnich, wydzwania się najwyraźniej:

„Sint... gunt!..“

Bożycy wędrowania imieniem normandzkim odzwania się wieża.

On że to, — szatan wagantów, — który kusił go przed chwilą, dorwał się ponoć i do kościelnego dzwonu?! Prawdę-ż okrakiwali dominikanie, że z wagantami Zło samo nawiedziło gród, wysyłało tej nocy swe bezszelestne gońce za duszami, a teraz odzwania je wszystkie?! Bo nie na gaszenie pożaru odezwał się dzwon, a jakby tym ptakom wędrownym na zerwanie się z grodu.

Tam, w oddali, dach przed chwilą zawalony objął, widać, ogień, bo łuna pożogi znowuż zadrgała nad miastem grozą czerwoną. A gwałtowny jej roz-błysk na murze, tuż przed oczyma mnicha, otrząsał go znów całem ciałem.

„Fratel nie jesteście wędrowni i zakon twój w założeniu świętego? Nie wędrujeszże ty sam nieustannie w rojeniach swoich? Wszakże dziś jeszcze u kramu i chorągwi korzennego kupca rwałeś się duszą pod wachlarzowe drzewa, na których ptaki rajskie śpiewają Alleluja srebrnymi chóry?“

Oo! z czystem sercem chadzałem. ja wtedy!

Żartkie wonie, bijące z juków korzennego kupca, upoiły mnie tęsknotą ku onym krainom, kiedy wszystko jest piękniejsze, dla bliskości Jezusowego grobu."

"Mnichu! — najbielszą lilią pod twoim pędzlem, każdą postać anioła, jego skrzydeł piórem każdem, tęskni w tobie sztuka twoja ku doczesności. I w tem jest twych jasnych obrazków rzewność cała — nawet dla przeora, który ze łzami w oczach zawsze je wychwala... Nad przeorową księgą, przy pędzlach i farbach twoich, wyhodowałeś w sobie całopalną miąższ i cielesnego ognia: twą nieukojoną tęsknotą za barwami świata! Tem żarliwiej ten pożąda i kocha, kto więcej i dusznych tęsknot w sobie nagromadzi — na wieńce gloryi dla umiłowanej. — I oto w powabach uroków wszystkich, w samego piękna obietnicy — ujrzałeś kobietę. Ciałem bierz ją, lub nie bierz, — nie stoimy dziś szatany o takie grzechy waszel! — ale duszą?.. Non des feminae animam tuam!... Na co sięgać duszą po obietnicę zaledwie, gdy ziszczenie samo w takimże powabie i uroku rzeczy wszystkich oczekuje na cię — za morzem?!. Fratel z mysiej nory spoglądasz ty na świat: tęskliwie zaledwie, mniszego ubóstwa, są twe jasne obrazki w przeorowej księdze, — gdy za morzem oczekują na cię Ziemi Świętej słońce i kolory!"

Łzy mnicha, w czas pokuty zaparte, teraz dopiero — na wypomnienie najgłębszej tęsknoty — poląły się obficie jak ten deszcz za piorunem.

"Frate, gdy cię ogień cielesny ogarnął, zapal się w nim cały: rozplomień w sobie i ducha twego żądz! — wyrzuj z cieśni klasztoru! — podnieś głowę na wypisane gwiazdami powołanie twoje! — weź w piersi tchnienie pychy! — surge de profundis!."

I roztoczyły się w wachlarze skrzydła łuny na murach, pod grzmot jakby daleki.

Rzuci się mnich ku niemu z krzyżem różańca w kulaku: „A p a g e l a p a g e l a p a g e l Jam franciszcanin, ja minoryta: z maluczkich najkorniejszy.

Jakoż zgasił: wsiąknął w nagłą ciemność przedkościelnego placu.

"Sintgunt!.. Sintgunt!.." — huczał już tylko dzwon swem kuszeniem ponurem.

I jakby za jego to przynaganiem, te szumy ludzkiego zbiegowiska przy ogniu dalekim zagłuszać jęły nagle jakoweś rozruchy z innej strony miasta.

I niczem zamieć gwałtowna zerwał się w dali krzyk gromad całych. Wichrem poniosło to w ulice, rozwrzastało po zaułkach w tumultów wiele: w jakoweś ścierania się zgłębliwie w brni wszelakiej poszczególnych i gonitwach na „huzia!" tłumów całych.

Docucają te krzyki brata. „Na Boga, — szepcze, — co się w mieście dzieje?!"

"To samo, co i w tobie, frate: — walka, dusz osiadłych i tułacznych walk!"

Zatrzepocę się mnich nie wiadomo dokąd; może w oprzytomnieniu onem, że gdzie się takie nagłości dzieją, tam i zakonnik bywa ku potrzebie dla dusz rozgrzeszania.

Lecz tymczasem tuż obok, gdzieś koło kościoła, zatupocą zbiry z przeraźliwym świstem pościgu i wrzaskiem uganiania się za kimś:

"Tego tu gęślarza w dzwinkowej czapieli.. tego kozodoja o łydkach włochatych!.. Kuklą wesółkową nakrywa on ponoć, tonsurę ledwie zarosłą, powiadał kanonik. — Zetrzećby z ziemi plugastwo takieli.. Ten między nimi wiła i diabła wysłannik najgorszy!.. A widzisz? nie ustrzegła cię dziewczka w alkierzu? Wyniosło cię na ulice wścibstwo igrcowe a żalosny ponoć koniec.

Głuchy łomot obucha o głowę chyba czleczą — i jeden tylko krzyk rozdzierający: już w niebo miłosierne, już o co innego chyba, niżli o zratowanie ciała.

Wystawia mnich krucyfiks w obu dłoniach. Z pacierzem na ustach biegnie w tamtą stronę.

"Maszże ty jeszcze, frate, władzę rozgrzeszania?" Zachwiał się nogi pod mnichem; runął bez czucia na ziemię.

Na gwiezdą kopułę grodzkiej nocy, ni ten okręt z Zamorza, wypłynął księżyc z nad murów. I wejrzał na plac kościelny tą omgłą zrenicą zaświatów, która i grodu mury w zamki-niewidy odmienia i czleczę postaci tak odcięła, że owo parobczak konny błędnym rycerzem na drodze się wyda, a człek zbrojny na koniu zgoła Parsifalem samym. — Wwiało skrzydło jasności wzwyż po schodach kościoła, naścażyło pówiaty we wnękę dzwierzy, na te wniebowzięciem smukłe szeregi pań świętych i błogosławionych królowych.

Napoly ockniętemu mnichowi wypatrzyła smuga księżycowa u stóp tych postaci — dwóch rycerzy, jak dwie mary, pod okiem miesiąca bledsze życiem od onych pań w kamieniu. Rozmroczyły się i cienie po bokach miesięcznej smugi, ukazując jakieś gromady śpiącego na schodach ludu. Acedją to tknięte grodu smutniki w poodpastowej nocy śniły tak może u progów kościoła swój sen o wyzwoleniu.

Chyłkiem a czujnie wychyla się z za węgła ulicy pstra wataha rybałtów i żaków wędrownych, każdy z toporem, czekaniem, widłami lub kłonicą w kulaku. Niejeden ramię swe, strzaskane gdzieś koło łokcia, za rękaw przy garści podtrzymuje zębami. Krwią ocieka ta i owa głowa; a wszystkie dymią jeszcze żarem uniesienia.

Na placu aż zakrzepłym w srebrzystej oćmie, w mgławej omartwicy zaświatów, stoi rumaka mara

dziwkształtna: ni to koń siwy, dwoistem siodłem ukulbaczon, ni to lasica, wydłużonością ciała swego. Zstępują ku niemu rycerze, spływają po świetlistym kobiercu. Jednego panowie dosiedli konia — w zaświadczenie przyjaźni: — jak chce przykazanie drugie graalowego szukania. Sztywno trzymają się w kulbakach, prężą nogi w strzemiionach ku końskiej aż szyi, w górę wznoszą koncerze. I jednym ruchem sztywno obu obzierają się za wagantami.

Nie słyszą wcale kopyt tehtentu, ani kroków ludzi.

Bo takiej ciszy uroki sączą się z naświetlonej wnętrza kościoła, kędy w blasku miesięcznym uwymuskulają się jeszcze bardziej żywe kamienie pań świętych. Bo taka ponurość milczenia czerni się pogrozą wież obu. Bo takie zasluchanie, zapatrzenie jest w tym smoczym kadłubie i dziobie kruczyska, które wychyliło się całe nad wrąb okapu, pozierać, jak oto ciągnie w światy wagantów plemię bękartie za błędnymi ojcami wszelkiego — po wieki — tułactwa dusz.

Nieodparta siła podejmuje mnicha z kłęczek i wlecze musiem po zaczarowanej kładce księżycowej smugi. Lecz u węgła kościoła, tuż na zakręcie, groza pęta mu nagle kroki.

W poprzek drogi leży wagant powalony, głowa młodego nurza się policzkiem w ohydnej białokrwawej mazi i świeci nad czołem czerwienią kaptura w dzwonek; szeroko rozruciły się na brukach ramiona martwe, ściskając jeszcze w dloniach smyczek i gęśle igrc. Szmatką przyplusnął do ziemi człek zabity, tylko bosa stopy i lydki waganta wysztywniają się trupio z pod oponki. A w półmnie księżycowego tumanu widzą się te nogi, chwilami, nieczem racie kosmate.

W poświęcie srebrzystej, pod omgłą żrenica zaświatów, która kształt każdy w niewidy odmienna, — zda się, że postacią Panka, gędzca i joculara — a padła tu pod obuchem na bruki *igra sama*: — wagantów bojownica z świata smutkiem!

Mnicha tymczasem już w dal odniosło za tamtymi, którzy wychodzą z grodu. W głębi ulicy, — widzi, — leży pokotem straż pokonana. Niczem wyłom w murze stoi na ścieżaj po nocy otwarta brama grodzka; most spuszczone. Bieleje za nim wolny gościniec świata.

Miedzy strażnikami, wysztywnionymi i po skonie, leżą w kłębkach ciała żaków, jakby porozrzucane tu rogami szalejącego byka. Acz nieżywy, przysiadł jakby pod murem siłacz okrutnie gruby; w piersi jego, pod giezłem otwartej, tkwią toporzyska czekanów, dziurty i belty, miotane jak w tarcz igryskową. — Pod nogi położył mu się linochód, zasłiskany całkiem w swej blaszkowej łusce rycerza na linie. Włócznia z żerdzi jego popisów, strząskana

w drzazgi i wióry, ułomkiem drewna została w kuleku upartym.

Nad nimi trzyma się jeszcze na nogach płatnierz z potężnym dyszlem w garściach; nim to pewnie rozbił i wywalił bramę grodzką. Tymczasem broda jego nabija się okrzepami posoki, sączącej się z jakiejś rany na głowie, której nie czuje jeszcze wcale. Żaki ciągną go za fartuch, by pośpieszał z gromadą. Odmachuje się im niecierpliwie, by czempredziej sami wynosili się z grodu.

Jakoż roil się już na gościńcu wszystek lud wędrowny, jaki tej nocy wysypał się było z bramy miasta. Nie jeden na zbocz drogi się zamitrzął, motając chusty ranną głowę lub ramię, zanim lekarz nieco dalej od grodu nie opatrzy ich jak trzeba. Od barwistości szat rybałtowych, aż się mieni gościniec cały. Bokami zasię, chyłkiem — miedzą, a ścieżyną — doganiają wagantów żaczki grodzkie, które tej nocy porwały się było w światy — *vitam explorare!.. probare omnia!..* Jakbyś łopot skrzydeł słyszał, podążających za kluczem: tyle w tych postaciach było ciągu wędrownego ptactwa, tyle woli tulaczej. W rozsypce pośpieszają rybałty gościńcem i drózkami, a gubią się jakby w tej omgle księżycowej, — więc się obwołują niekiedy. A podmuchy i rozchwije nocy wydłużają wraz, użalością głosy takie, ni to w blekot żorawi ciągnących za morze.

Wyruszył i franciszkanin z wagantami na wędrowanie swoje — za morze, ku Ziemi Świętej. Nie z dobrowoli pielgrzymi mnich i nie za pobożnych myśli przewodem, bo go i Ziemia Święta nie Kalwarią już nęci, a pysznemi kolory — na sycenie oczu, na spysznienie dłoni. Oto wiodą go pod ramiona i włoką w miesięczne tonie, ni te topielice w wodę, one dwie, pogańskie boginie tułactwa, a panie świata kolorów: *Singunt*, wędrownica gościńców i jej towarzysza *Saga*, wielewidząca opowiadaczka!..

Krętym węzłem pnie się a wybiela na podgórzu droga daleka, i urywa na szczycie w łuku między borami. Zastawia te wrota leśne wielka tarcza księżycowa. Widmowo pomykają się ku niej na ostatnim już skręcie drogi obaj błędni rycerze na jednym koniu; płoną koncerze wzniesione. Nie zatrzymuje się to widmo na przełęczy, — a sunie wprost w banie ognistą!..

Tak wpada w ogień, powiadają, ptak Feniks w polocie przeobrażeń.

Rychło patrzeć, a tarcza miesięczna podejmie się z nimi wyżej — między gwiazdy.

Tak igrc i żaki, za przewodem rycerzy błędnych, wyruszyli na szukanie Graala.

(K. CZ. II.)

POWROTNA FALA.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

Naokoło Ekspresjonizmu.

Ekspresjonizm!

Jezus Marja! Znowu nowy „izm“! Po co i na co? „Pour épater le bourgeois?“

Ależ ten biedny burżuj dawno już przestał walić się w piersi i krzyczyć, że on jedyny jest w posiadaniu niewzruszalnych dogmatów — dawno już stał się pokornym, pragnie w pocie czoła wyrozumieć, w którą stronę się zwrócić, zkąd mu może zbawienie nadejść, ale kędy się tylko zwróci, przełajający las ostrokołów-izmów do oblędu go doprowadza.

Ale tym razem: rassurez-vous!

„Ekspresjonizm“ nie zwraca się w stronę publiczności, ale oznacza coś w rodzaju pałacowej rewolucji w dziedzinie sztuki: ostrą reakcją przeciw dotychczas wszechwładnemu „impresjonizmowi.“

Otrąbiono „ekspresjonizm“ jako coś nowego — och! dalibyśmy sobie raz wreszcie spokój z „nową“ sztuką, „nowymi“ prądami, „nowymi“ kierunkami!

Nie ma nic nowego w dziedzinie ducha, li tylko ustawiczna walka, wieczne zmaganie się Jakóba z Aniołem, bezustanne zapasy materji z duchem.

Niczem więcej nie jest cała historia kultury, jak tylko tą zacieklą walką impresjonizmu z ekspresjonizmem — musimy już przyjąć te pokraczne nazwy, by się mózgi porozumieć — walką niewzruszalnego świadectwa zmysłów z wewnętrznym przeświadczeniem, że to świadectwo nic nie jest warte i kłamliwe, krwawą walką między olbrzymim dogmatem, na jaki się najświętsza wiara w „Genezis z Ducha“ zdobyła, że wszystko dla ducha i przez ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje, a dogmatem materialistycznym, doprowadzonym do absurdu przez twórcę pozytywizmu Comte'a, którego dogmatyzm raz wreszcie pragnie skrócić łeb tyśiącznowiekowemu „błędowi myślowemu,“ jakoby naszemu poznaniu było coś innego dostępnem prócz namacalnych faktów: fenomenów zmysłowych i ich wzajemnej relacji — nieustępliwą walką między „szkiełkiem“ w oku mędrca, a uczuciem, walką między „anima abdominalis,“ pozostającą w bezpośrednim związku z naturą i bóstwem, umożliwiającą wskutek eliminacji funkcji zmysłów przeczcucie najgłębszych tajemnic, a „anima cerebralis,“ która się posługuje li tylko rozumem: rezerwoarem materiału, jaki jej zmysły dostarczają — jednym słowem: bezustanną, odwieczną i wciąż jakoby „nową“ walką między „Im“ a „Ex“, piekielną nawałnicą świata zewnętrznego, wdzierającego się przemocą i przemożnym terrorem do mej duszy, a moją jaźnią, która z wszystkich sił pragnie bronić swej supremacji, raz po raz dostaje się w sromotną niewolę, znowu zwycięża, tryumfuje w przemożnym majestacie, by znowu zapaść w ciężki letarg, z którego czasami dopiero po wiekach całych się budzi.

A strasznem jest wtedy przebudzenie się Ducha, obezwładnionego przez materję.

Budzi się powoli, ospale, przeciąga wypoczęte członki, rozgląda się wokoło, patrzy na rozkwit handlu, przemysłu, sztuk pięknych, chichocze cicho na widok tego wszystkiego, co ludzkość z dumą „kulturową“ swoją nazywa, a w której dawno już wygasła każda iskierka z jego świętego praojca, dźwiga się gniewnie, że tę chwilę, w której niemocą złożon został, to marne robactwo ludzkie tak nędznie zużyło, zrywa się nagle przepętyżny, rozszalały, gdyby huragan rozkiełzanych ziemskich i niebieskich potęg, zmiana z ziemi kwitnące miasta i rozkoszne sioła, w niwecz burzy rozkoszne przybytki użycia, kultury, wiedzy, w których przebywała do niedawna tak spokojnie w sadio porosła tłuszcza „zjadaczy chleba,“ depta olbrzymią stopą świątynie, w której ludzkość fałszywym bogom ofiary składała, straszliwą pochodnią świętego buntu i gniewu wznieca pożogę, która cały świat obejmując, pędzi rozszalały przed się i burzy i niszczy, by kamień na kamieniu nie został, i pali i zwała i tratuje, by się nic nawet na zalążek nie ostało i mści się w nieubłagalnym gniewie, bo ocknąwszy się z bezwładnego snu miast kapłanów świętego ognia znalazł czcicieli Brzucha i zmysłów.

I pędzi w niepomamowanym szale poprzez świat cały i pali i niszczy i wywraca, jako czynił to od początku świata i czynić będzie, dopóki raz wreszcie nie zastanie ludzi skupionych, w pokoju i żarliwym Jego płonie.

A dopóty to nie nastąpi, spełniać się będą słowa wieszczów i proroków, że wszystko z Ducha poczęte, a wszystko inne będzie niszczone wojną i pomorem.

Szesnaście wieków mija, kiedy się poraz ostatni Duch w tej straszliwej potędze przebudził, kiedy w zapamiętałym szale niszczył Ateny i Rzym i Aleksandrię, kiedy palił i niszczył świątynie pogańskie, rozrąbał i kruszył to wszystko, co potęga materji wytworzyć zdołała — niestety nie umiał, lub też i sił już nie miał, tak doszczętnie niszczyć, by nic się nawet na zalążek z starego świata nie ostało — i to było jego bolesną tragedją. Na razie wprowadzić niesłychanym zwycięstwem. Piękność duszy zatryumfowała w nigdy nie bywałej potędze, a boskiem kwiecim lotosu, w którym już, już niewypowiedziane Bóstwo spocząć miało, wytrysnęła w niebo w niepojętych cudach gotyku.

Duch był wtedy napelniony, opętany wiara. I mocą tej wiary miał prawo niszczyć doszczętnie piękność materji, jaka się w plastyce lub architekturze greckiej, czy też rzymskiej przejawiała, bo ta pięk-

ność była dla Ducha obmierza, marną i plugawą brzydotą, potwornem zeszcpeceniem jedynej piękności, w jakiej Duch się przejawia, dla którego widzialne, pochwytnie formy i kształty są złudnym omamem, kpiącym i złośliwym majakiem jedynej rzeczywistości, jaką jest nieogarnięty, niewypowiedziany Bóg: Idea Idei, Słowo, zaczem się ciałem stało.

A najwyższym tryumfem, jaki Duch ludzki dotychczas w sztuce osiągnąć zdołał, najwspanialszem jego wniebowzięciem — to Gotyk: najwięcej boski tryumf, jaki kiedykolwiek „ekspresjonizm“ (potęga ducha w chrześcijaństwie) nad „impresjonizmem“ (potęgą materii w pogaństwie) odniósł.

Ale Szatan-Materia nie próżnował. Z odwiecznych grobów wywłókł okaleczającą piękność pogańskiej Materii: Cud-zjawą wiecznie żądnych, rozkoszy chciwych demonów-zmysłów oszołomił na nowo duszę ludzką, ogarnął ją całą i omotał. Duch, wyczerpany przeobrzymą genezyjską pracą, osłabł i zlewniał, a „dusza, wygnana z raju“, która już, już rozkładała się w ciężkiej pokucie u stóp Krzyża, rzuciła się na oślep z rozszalałą rozkoszą w objęcia Lucyfera — Renesansu.

Renesans — Odrodzeniem?

Kpiny!

To nie żadne odrodzenie, to sromotne cofnięcie się wstecz — ordynarny obuch plebejuszowskiej reakcji zmysłów, który niszczy całą przewspaniałą kulturę, stworzoną przez Ducha w Gotyku, obmierze rozpanoszenie się tłuszczeniem ociekającej materii na boskim tronie niepokalanej piękności, jaki Duch ludzkości zbudował: cały renesans, to jedna haniebna likwidacja wszystkiego tego, co wspaniałą, arystokratyczną Duch stworzył.

A wielką była ta potęga tego „renascimento“ pogańskiej materii, wieki całe przetrwała w tysiącznych formach i odmianach i przetworach, a każdą przemianę witała ludzkość jako coś niesłychanie „nowego“. Nowem było jałowe wyćcie się obumierającego renesansu w baroku, „nową“ sztuką lechtało zgnuszenie i rozleniwienie się i rozkład baroka w rokoku, które znów rozkłada się po małomieszczańskich dworach w Biedermajerze: renesans zeszedł na psyl — Raz jeszcze podrygi do prazródła klasycyzmu w pseudoklasycyzmie rewolucji francuskiej — och! co za potworność! Potem zaciekała walka przeciwko temu klasycyzmowi w Romantyzmie, chorobliwe, wściekłe wysiłki „naturalizmu“ by zdławić te obrzydłe „niebieskie“ zielsko amerykańskimi konstrukcjami z żelaza i szkła: Tour Eiffel sadowi się tryumfująco naprzeciw „Notre-Dame“, Zola trzepie po głbie Racine'a, Manet wywraca do góry nogami wszystko, co Ingres stworzył, plein-air rozwała mury pracowni mistrzów renesansu, oko wyzwala się od mózgu i pracuje na „własną rękę“, nie troszczy się o jakieś głupie „pojęcia“: zewnętrzny świat, przyroda z ścisłami co dopiero odkrytymi prawami staje się absolutnem bożyszcem: „hors la nature point de salut!“ Poza zmysłem — specjalnym, autonomicznym zmysłem siatkówki — nic innego nie istnieje. Świat zewnętrzny — materia święci najwyższy tryumf nad duszą, w tak zwanym ścisłym „impresjonizmie“ staje się absolutną i bezwzględna rzeczywistością, wobec której wszystko inne: wewnętrzne życie duszy z jej wszystkimi władzami duchowymi — nazywa się obłędem i śmieszem urojeniem.

I tak przetrwała ta potęga zmartwychpowstałej materii, aż po nasze czasy, a, aby na tym rozkiełznanym kiermaszu, megalomanią opętanych zmysłów nie brakło Harlekina, pojawia się „secesjonizm“ w tysiącznych przejawach — wszystko jedno, czy będzie go reprezentował Klimt, czy też Beardsley, nawrót do sztuki Negrów czy też Azteków, lub do asyryjskich bałwanów, a chociażby do Inkasów Peruwii: to już marazm sztuki zmysłów, wobec którego ostateczna likwidacja sztuki Helady w pierwszych stuleciach po Chrystusie wydaje się przewspaniałym zachodem słońca, przed którym na kolana paść można.

I tak przetrwał „impresjonizm“, rozpoczęty „renesansem“ do naszych czasów, by wreszcie w van Gogh'u do obłędu doprowadzony został. To już nie rzeczywistość, ale wspaniała przepotężna wizja „sądu ostatecznego“ Rzeczywistości. Poza van Gogh'a „impresjonizm“ pójść nie mógł. Wszelkie jego możliwości w nim się dokonały. Impresjonizm rozsądził mózg człowieka w swojej najintensywniejszej sublimacji i rozpoczął się pierścionek wiecznego powrotu: doszliśmy do onej granicy, gdzie się w tonacjach krzyżyki z bełmami znoszą.

Ekspresjonizm „nową“ sztuką? Gdzież tam! Wśród najrozpasańszego tryumfu „impresjonizmu“ odzywał się głuch w czasach Renesansu w cudownych wizjach Signorelli lub Giorgione'a, tytaniczną pięścią rozwalając „klasyczne“ formy w twórze Michała Anioła, witał się w rozpacznych kontorsjach i konwulsjach w obrazach Theotokopulusa Greka, szalał w potwornych wizjach Goyi, w tryumfie wścieklej nienawiści do wszelkiej rzeczywistości w Ensorze, wylł przeraźliwie w tańcu miłości i śmierci Edwarda Muncha, rozdzierał doświadczalne formy w twórze Rodina, lub Vigeland'a, lub też Dunikowskiego — już współcześni rozumieli że tu nie o formę, lecz o jakieś wielkie objawienie się rozchodzi, więc zwali tych wyznawców dróg ducha „wielkimi wtajemniczonymi“ (les grands initiés), ale teraz dopiero, a właściwie przy końcu ubiegłego stulecia, tym słynnym „fin de siècle“ w tem rozpasanem „tout est de carême-prenant“, w „ostatki“ — w których wszystko wolno, wywłókł się z swego leża, na którym tak długo w uśpieniu spoczywał — Duch! — Wywlec się musiał — dopustem Bożym.

Ludziom się zdaje, że to oni robią „wojny“ wywroty“!
Och! jaka śmieszna próżność!

Słowacki przeniknął tę ludzką megalomanię aż do dna w swej „Genezis z Ducha”. „Ileż razy duch zaleniwiony w pracy z drogą twórczości się rozmija, karze go Pan walką sił wewnętrznych i rozbrataniem onych. Kiedy słoneczności z siebie wydobyć zapiechał, zmusił go Pan błysnąć ogniem niszcycielem, zamienił ducha w kłęb ognia i zawiesił go na przepaściach — kiedy pierwsze niegdyś ciała ducha naszego — twarde kryształy — ruchem pogardziły, w trwaniu i w spoczynku jedynie się rozmiłowały — ileż Ty Panie użyłeś piorunów bijących w skały bazaltowe pierwszego świata, ile ogni podziemnych, ile wstrząśnień, abys te kryształy rozbił i zamienił w proch ziemskil.. Kazałeś li Duchowi samemu zniszczyć się? czy przerażony sam walił na siebie wybudowane sklepienia? aż ze stłuczonych skał dostał ognia, skrzepierwszą, która może wielkiemu miesiącowi podobna, wybiegła z gruchotu kamieni, zamieniła się w słup ognisty i stanęła na ziemi jako Anioł Niszczyciel...”

I przeświety Anioł-Niszczyciel, którego Bóg zsyła, by niszczył wszelaki twór, w którym Duch rozleniwiony, zwrócony z drogi postępowej, wypocząć pragnie, znowu się objawił i rozpalila się straszna wojna: i ta, która dla stworzonej ludzkości zda się koniec świata wieścić i ta, która wszystkie socjologiczne i ekonomiczne nasze pojęcia na rębę wywraca, i ta już oddawna nurtująca niewzruszoną skalę Piotrową: kościelnym „modernizmem” zwana i jak również i ta, która od dziesiątek lat nad wstrząśnięciem posad wszelakiego „impresjonizmu” w krwawym trudzie się biedoli,

Wszędzie i zawsze jedno i to samo: Rozleniwiony duch zostaje ukarany potopem i ogniem, sam twór swój, w którymby spocząć pragnął, niszczyć musi — sam na siebie wali w przerażeniu wybudowane sklepienia, sam z siebie wytwarza Anioła-Niszczyciela, który całą jego przez miliony i miliardy wieków stworzoną pracę w niwecz obraca — i ten sam duch, gdziekolwiek i w jakiegokolwiek formie się objawi, w którejby dłużej spocząć pragnął, teraz już, kiedy Bóg położył „pieczęć trwałości na zapisanej przez Ducha ludzkiego księdze” — musi nieustraszenie dalej pracować, a wszelkie rozleniwienie mści się „wojną” — wszystko jedno, czy objawi się w przelewie krwi człowieka, czy też w niszczeniu starych tablic praw formuł, norm i prawd.

Kto spojrzy z tego punktu widzenia na ten osławiony, ośmieszony, wykpiwany „ekspresjonizm” głęboko się zastanowi.

Zastanowi się przedewszystkiem nad tą przełomową epoką w której żyje:

Zbrzydła nam i obmierzła ta dotykalna, namacalna, przez oczy i uszy wdzierająca się rzeczywistość: jest ordynarna, karczemna, hałaśliwa, rozrywająca wszelką możliwość skupienia, najczystsza nawet dusza staje się jakimś średniowiecznym kościołem, w którym ongi raz poraz tylko, dziś już ustawicznie odbywają się święta „błaznów” i „osłów” — idiotyczne Hin - ham, plugawi modlitwę, a świętokradzkie, bluźniercze kazania zaków i histrjonów wyorywują duszę z jej wszystkimi korzeniami i każą się jej w ordynarnym kankanie rozbewstwiać. Zbrzydły nam te ustawiczne zapusty zmysłów — słuchamy żarliwie słów Edgara Poe, który twierdzi, że pewność jest tylko w marzeniu, wracamy do starego Berkeley’a, który nie wierzył w rzeczy widome, odrzucał materię i tylko boskość przyznawał, usunęły się z pod nóg naszych wszelkie pewniki, o które sztukę opierałismy, „nic nie istnieje okrom tego, co się sobie wyobraża”, przebąkiwał już zdekoncertowany Anatol France, a „względność praw fizycznych” Poincaré’go stała się kamieniem, o który wehikuł ludzkości, zapełniony bezwzględniemi prawami się wyrzucił. Zewnętrzność, pozór, kształt jawny został odrzucony, świadectwo zmysłów, jako całkiem fałszywe, przestało w rachubę wchodzić, zerwano z wszystkimi formułami, receptami — najrealniejszym faktem stało się to, co się w moim Ja dzieje. Nie widzę przedmiotu, który został rzucony w nurt rzeki, widać tylko kręgi, coraz szersze, lub niklejsze, jakie ten niewidzialny przedmiot na wodzie wywołuje. Wrażenia, ze zewnątrz przybyłe, są tylko pretekstem i podrażnieniem — jedyną prawdą jest własna jaźń i własne uczuciowe stany.

Nie ten kamień mnie obchodzi, który wpadł z „zaświata” w jezioro mej duszy, ale te kręgi, które wywołał.

Precz z „naturą”, do absurdu doprowadzoną przez fotografię i kino, a jeżeli już naturę się uznaje, to jedynie tę zdematerializowaną, abstrakcyjną jej syntezę i ujawnioną przez strukturę form, zredukowanych tylko do swych funkcji. Obdarzyć naturę autentycznością (donner d’authenticité à la nature) według słynnego orzeczenia Mallarmé’go jest jedynym pragnieniem ekspresjonistów francuskich: Matisse’a, Derain’a, Picasso, Brugué’a, a autentyczność tę znajdują nie w świadectwie zmysłów, ani przez nie wywołanym sentymencie (wyrazie), ale w sposobie rozmieszczenia ciał ważkich, pozostawienia pustego naokoło nich pola, w proporcjach, jednym słowem w kompozycji, to jest w sztuce ułożenia w sposób dekoracyjny rozmaitych pierwiastków, które służą malarzowi do wyrażenia uczucia... I w tem objawia się rewolucyjny charakter ekspresjonizmu: zasada, absolutem „credo” impresjonistów były słowa Bacona: „Opanowuje się naturę tylko wtedy, gdy się jest jej posłusznym” — „głupstwo!” odpowiada na to Matisse: „jest to niemożliwe kopiować naturę niewolniczo, muszę ją podporządkować sensowi obrazu. Zestosunkowanie przezenniem wszystkich tonów musi wywołać żywy akord kolorów, harmonię analogiczną, jak w kompozycji muzycznej.

Należy tedy mieć od samego początku wizję całości.”

Cały ekspresjonizm dąży do tego, by w przeciwstawieniu do impresjonizmu, który daje tylko fragmentaryczne formy, stworzyć styl, któryby wyrażał formy integralne, był ekwiwalentem duszy twórczej, uduchowieniem formy bytu, ich symbolicznym wyobrażeniem.

To też nie dziw, że walczy zaciekle z oną posagowo obrysowywaną linią renesansu, szlachetną kalfografią Rafaela, którą tenże przejął od Greków — już dla Delacroix nie istnieje kontur, bryła nie jest dla niego kombinacją linii oderwanych, ale masą mającą swoją objętość i własną powierzchnię, niezależną od konturów, których w naturze niema — dalej już poszedł Daumier w swoich monstrualnych deformacjach, w najdziwniejszych pogwałceniach proporcji, w niemożliwych skrótach — a to wszystko służyło mu jedynie w tym celu, by rzec materialną podnieść do najwyższej abstrakcji, rzucić pyłek piasku na ekran i ukazać go globem, przypadkowość uogólnić i ukazać ją odbitą wszystko jedno czy w wypukłym, czy też wklęsłym zwierciadle własnej duszy.¹⁾

Takim mi się wydaje być ideowy przekrój „ekspresjonizmu“.

Dusza wyzwała się z okleszczy materji, powoli, z tysiącem przezorności, niszczy żelazne pręty robronu „klasycyzmu“, w które ją okuto, szuka, wyzwalając się, nowych form i kształtów, w którychby się objawić mogła — wrzekomo „nowych“ — na pierwszy rzut oka, bo w rzeczywistości wszystko to już było: „Historja sztuki, mówi Maurice Denis, jest ciąglem powtarzaniem się. Te same zasady kolorytu, które stanowią bogactwo Gauguin'a lub Van Gogh'a były już znane Tintoretowi i Tycjanowi. Piękno linii krzywych, styl linii Degasa, czy Puvis de Chavannes'a odnalesć można na wazach greckich i freskach prymitywów.“ Tą samą zasadą deformacji kształtów monstrualnem wyobrażeniem form przestrzennych, poszarpaniem linii „rzeczywistych“ w potworny patos rozjuszonego uczucia nienawiści czy też wstrętu posługiwał się już Van Aaken (Hieronym Bosch) choćby w swym zdumiewającym potęgą ekspresji obrazie: „Portation de la croix“ (Gandawa.)

Dusza wyzwalająca się z obrczy rozleniwienia, „sama na siebie wali w przerażeniu wybudowane już sklepienia“ a Duch, „ukarany walką sił zewnętrznych i rozbrataniem onych“ staje znowu przed Panem, a ten bierze go proszącego w ręce swoje, wysłuchuje jego dziecinnych żądań i podług woli nowym kształtem go obdarowuje. „A mądre i dziecinne zarazem są te kształty. Każdy albowiem Duch długim cierpieniem w domu swoim i niewygoda jego doczesną udręczony: wiedział i że iza mi w oczach prosił Cię Boże o poprawę jego ścian nędznych; a czy te były z perły czy z dyamentu, zawsze coś ofiarował Tobie Panie, z przeszłych wygód swoich, aby wziął więcej dla Ducha wedle jego potrzeby.“

Olbrzymia i bezdennie głęboka koncepcja kosmogoniczna Słowackiego daje się całkowicie zastosować do ewolucji wewnętrznej życia Ducha w ludzkości.

Nadszedł teraz czas, gdzie Duch jął cierpieć w ciasnem więzieniu z „perły i dyamentu“, niewygoda jego i ciemnotą ponad wszelką miarę udręczony, i Duch stanął przed Panem i pokazuje mu „mądre i dziecinne zarazem kształty“, w których zamieszkać pragnie.

Poswieca w tym wypadku całą wiekową pracę złożoną w tym przeogromnym wysiłku, poczynając od chwili obudzenia się renesansu aż pod schyłek jego w neo-impresjonizmie, zwala na siebie sklepienia tego wspaniałego gmachu, by — rozpocząć nowy dzień tworzenia.

Nie roszczę sobie najmniejszych pretensji, bym zdołał wnikać w istotę tej najnowszej fazy ewolucyjnej w rozwoju sztuki, która się ekspresjonizmem nazywa. Być może, że ją nawet całkiem fałszywie rozumiem, może ona całkiem ku innym celom zmierza, całkiem innych perspektyw szuka, jak te, które jej w mojem — błędnem może zrozumieniu — wykreśliłem. To jedno tylko wiem, że cały ten — teraz już bardzo silny — kierunek zasługuje na to, by jego dalszy rozwój z jak największą uwagą śledzić i wszystkie siły wyteżyć, by w tajniki dynamizmu jego wnikać.

W usiłowaniach ekspresjonizmu — rzetelnych i głęboko odczutih u paru jednostek, całkiem niezrozumiałych i ślepo naśladowczych już to dla dziecinnego jakiegoś snobizmu, już to historycznego pragnienia wyróżniania się z całej rzeszy artystów u przeważnej części tych „Mitläuferów“, jak ich Niemiec nazywa — widzę to jedno tylko: gwałtowny protest przeciw terrorowi natury i otaczającego nas świata, któremu artysta dotychczas niewolniczo podlegał i nawrót do jedynej rzeczywistości: do swej jaźni. Wylamuje się z pod jarzma natury, gardzi jej pokusami i pięknoscią, wchłania ją w siebie co prawda, ale ujarzmia ją swoją duszą, nadaje jej całkiem inne formy i kształty, jak te, w jakich się zmysłom narzuca i zmusza ją do tego wyglądu, jaki jej nadaje jego wewnętrzne uczucie.

Nie natura kształtuje jego sposób patrzenia, ale na odwrót jego indywidualne, uczuciowe, duchowe „widzenie“ każe naturze taką być, jaką ją mu dusza jego ukształtowała; nie jest jego władczynią, która mu tyranicznie swoje prawa narzuca, ale prostym materiałem, z którego on swoją wizję ugniata. Odrzuca zatem wszystkie formy, którymi natura zmysły człowieka w impresjonizmie ujarzmiła, jakimi je bezustannie teroryzowała i wytwarza te jedynie rzeczywiste formy, w jakich ujarzmiona natura w jaźni twórcy się przedstawia. Kamień, który w duszę mą wpada, nie mnie nie obchodzi, jedynie tylko reakcja mej duszy na dokonany fakt. Kamień zapadł się gdzieś w głębi, śledzę tylko te kregi, jakie się na jeziorze mej duszy rozciągają.

Teoretyczne ujęcie tego współczesnego nam ruchu jest przedwczesne, a nawet niemożliwe wobec różnorodności i rozbieżności tych wszystkich prądów, jakie się w sztuce objawiają — i o to też nie chodzi —

¹⁾ Zwracam uwagę na świetne studjum Adolfa Baslera: „Nowe konwencje w malarstwie.“ (Przyp. autora.)

zasadniczą jednak rzeczą wydaje mi się być ten fakt, że ludzkość zwolna zmienia swój stosunek do otaczającego ją świata — czysto zmysłowy racjonalistyczny do niedawna, przetwarza się w bezwzględnie uczuciowy: tą zmianą stosunku indywiduum do świata zewnętrznego rozpoczynały się wszystkie tak zwane przełomowe epoki w życiu umysłowym ludzkości. Widzimy przeobrażenie to, najgłębsze i najwięcej wstrząsające całą ludzkość, w pierwszych wiekach po Chrystusie. Widzimy je potem, gdy nawrotna fala stosunek ten znowu zmienia na korzyść zmysłów i możnowładztwa materij — widzimy nowe i groźne próby budzenia się Ducha w Romantyzmie na początku ubiegłego stulecia, ale nie dosyć silne, by mógł się w całej swej potęgzie rozbudzić — a teraz: ten cały ekspresjonizm wydaje się być ponownym braskiem jakiegoś nowej epoki, zapowiedzią nowego królestwa, o które ludzkość nigdy żarliwiej się nie modliła, jak właśnie teraz, gdy już doszczętnie wiarę utraciła.

A dziwnie podobne są nasze czasy do onych, w których starożytny świat wił się przez długie stulecia w przedśmiertnej męce konania.

Tylko wiary nie ma! Wie o tem ekspresjonizm, więc rozpacznie jej szuka.

Tej gorącej, rozrzuconej potrzebie wiary nie starczy oczywiście jakiegokolwiek dogmat religijny — wszelaki dogmat jest wrogiem ekspresjonizmu, szczeblem, który zdruzgotać trzeba, jeżeli się już na wyższy wspieło — więc szuka się zaspokojenia tej żądzy wiary, bez której żaden s t y l istnieć nie może, w pismach „wtajemniczonych“, wszystko jedno, czy zaliczają się oni do Neo-Pitagorejczyków, czy też aleksandryjskich neoplatoników, czy też twórców „Gnozy“ Basilidesa lub Walentyna, szuka się wiary w średniowiecznych mistykach, a przedewszystkiem u wielkiego mistra mistyki Eckharta. Ten ostatni szczególnie nęci i przykuwa do siebie współczesny „ekspresjonizm“ swoją głęboką nauką, że trzeba z duszy wyrzucić wszystko, cokolwiek do niej zmysły wniosły, oczyścić ją z przyziemnego kału zmysłowych impresji, aby Bóg — ten „nowy“ Bóg do niej mógł wkroczyć. A stoi on przed jej drzwiami i czeka, rychłoli oczyszczona dusza przyjąć go zechce.)

Ale wiary jeszcze niemal

I wie o tem dobrze ekspresjonizm. Sam Bóg jeszcze mu się nie objawił, ale, gdy to nastąpi, wyłoni się z niego jakiś wielki cud, jakim był przed pięciu wiekami gotyk.

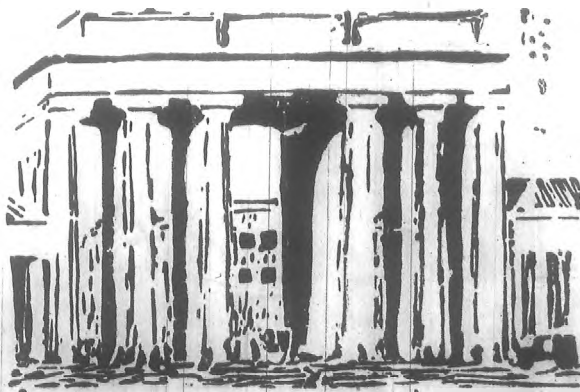
Śmieszni jesteśmy tą naszą historyczną niecierpliwością: chcielibyśmy widzieć najwyższe objawienia z dnia na dzień, a zapominamy o tem, że na to wieków potrzeba — wieków najusilniejszej, najkrwawszej genezyjskiej pracy Ducha: bądźmy szczęśliwi, że danem nam jest patrzeć na te pierwsze „tak dziecinne, a tak mądre kształty“, w których to trzecie Królestwo po wiekach całych męczeńskich wysiłków nam się objawi.

Tylko głupia, najzarozumialcza pycha jest w stanie naigrawać się z tych dziecinnych, przenaivnych a tak nieskończenie mozolnych wysiłków, mało co świadomych, na oślep błędzących — oh! jaka olbrzymia Gehenna mąk twórczych tkwi w tej nadludzkiej walce z przemożną materją — tylko tępy, ślepy „mizoneim“ tych, którzy z swego legowiska ruszyć się nie chcą, wścieka się i pieni, że „wieczny rewolucjonista“ zakłóca jego spokój — człowiek, wyczekujący przyjścia tego królestwa, o które się od dziecka modli, ujrzy w tej pracy daleki jeszcze — oh! jak daleki! — przeblysk tego, co ma, co musi nasz strupieszala, martwy świat, świat bez wiary i Boga — w nowej, odwiecznie nowej piękności przeobrazić.

A, aby módz tego dokonać, musi kruszyć stare tablice, musi niszczyć stare formy — wszystko jedno czy w ustroju społecznym, czy w dziedzinie Sztuki.

Duch, burzący Niszczyciel, jest równocześnie twórczym Budowniczym. W wszelkiem burzeniu tkwi już zaród twórczego budowania. Duch zwała na siebie sklepienia gotowego już, zdaje się gmachu, a równocześnie buduje nowe fundamenta — prawie niewidzialne jeszcze — może to tylko wiechy, które sobie Duch dla swej genezyjskiej pracy wyznaczył — ale dla człowieka, którego oczy duszy w przyszłość wyteżone — nierównie świętsze, aniżeli gotowe już od wieków kościoły...

¹⁾ Jeden z najpiękniejszych ustępów z pism mistycznych Eckharta, pozostający w ścisłym związku z nauką „ekspresjonizmu“ dajemy w tymże numerze w przekładzie p. Jadwigi Przybyszewskiej.



Stefan Samaj — drzeworyt.

Z MISTYCZNYCH PISM MISTRZA ECKHARTA.

O CIEMNOŚCI.

Przełożyła JADWIGA PRZYBYSZEWSKA.

Czytamy w Ewangelii, że gdy Pan nasz dwanaście lat liczył, udał się wraz z Marią i Józefem do świątyni w Jeruzalem. Gdy zaś ci powracali, pozostał Jezus w świątyni, czego nie zauważyli, i gdy przybyli do domu i spostrzegli, że go niema, poczęli go szukać pośród znajomych i nieznajomych i pośród krewnych i w tłumie, ale nie znaleźli go nigdzie, zgubili go w zbiegowisku tłumu. Musieli tedy powrócić tam, skąd wyszli, i gdy się udali z powrotem tam dotąd, skąd wyszli, do świątyni, odnaleźli go.

I tak zaprawdę jest: chcesz odnaleźć szlachetne swe urodzenie, musisz opuścić wszelaką ciżbę tłumu, musisz powrócić do swego początku, do przyczyny, z której wyszedłeś. Bo wszystkie siły duszy i jej dzieła są tylko takim zbiegowiskiem tłumu; pamięć, rozum i wola, to wszystko, jak różnorodny tłum bezustannie się roi, dlatego musisz je opuścić, jak również: zmysły, wyobraźnię, i to wszystko, w czym siebie samego znajdujesz lub szukasz. I wówczas tylko możesz odnaleźć to szlachetne swe urodzenie, inaczej zaprawdę nie. Wśród przyjaciół, krewnych i znajomych Jezusa nie znaleziono, raczej się go tam całkiem zatracza.

Dlatego musimy tu zadać pytanie: azali człowiek może urodzenie to odnaleźć w niektórych rzeczach, które wprawdzie też boskimi nazwać można, ale które z zewnątrz, przez zmysły do duszy wprowadzone zostały, jak na przykład: niektóre wyobrażenia o Bogu, że Bóg jest dobry, mądry, miłosierny lub inne podobne rzeczy, które można zaczerpnąć z rozsądku, i które także boskiego są pochodzenia: czy w tem wszystkim to urodzenie odnaleźć można? po prawdzie, nie!

Pomimo bowiem, że to wszystko dobrem jest i boskiem, zostało wszelako z zewnątrz, przez zmysły do duszy wprowadzone: a jeżeli urodzenie to w całej swej istocie i czystości ma zabłysnąć, wszystko z wewnątrz, z Boga wytrysnąć i wszelaka twoja czynność ustać musi i wszystkie siły twe. Jemu, a nie tobie służyć muszą.

Ma dzieło to być doskonałem, musi je Bóg sam zdziałać, i ty musisz je sam z poddaniem się Jego woli z rąk Jego przyjąć. Tam, gdzie ty z wolą swoją i wiedzą całkowicie wynijdziesz, tam w całej prawdziwości, z całą swą mądrością i wolą wnijdzie Bóg i tamże czystą światłością rozbłyśnie. Gdzie bowiem Bóg ujrzeć się zapagnie, tam twoja mądrość ostać

się nie może i nie zda się na nic. Nie trzeba ci się też ludzi, że rozum twój tak urość może, iż Boga ogarnąć będziesz w stanie, gdy bowiem Bóg w tobie boskiem swem światłem rozbłyśnie pragnie, nijaka światłość ziemską pomocą ku temu być ci nie może, raczej w nicość się rozplynąć, do szczętu zaniknąć musi. Wówczas dopiero może Bóg tam światłość swą wświecić i wnieść wraz to wszystko, czego tobie nie stało, i tysiącokroć razy więcej, oraz kształt nowy, który wszystko w sobie zawierać będzie.

Na to mógłbyś rzec: „Zaprawdę, Panie, cóż począć mam z moim rozumem, jeśli on tak bezczynnie, bez wszelakiego udziału na uloczu stać musi? Żaliż to najprostsza będzie droga, jeśli moją świadomość wzniosę do niepoznanego poznania, które niemożliwością jest? Bo jeśli coś poznam, to nie będzie to już niepoznanem i nie byłoby wolnem i wyzwolonom z wszystkiego. Czyż więc w całkowitej mam pozostać ciemności?” Zaiste, nic lepszego obrać nie możesz, jak w całkowitej pozostać ciemności i nieświadomości. „Oh, panie, czyż muszę więc wyzbyć się wszystkiego, czyż już naprawdę odwrócić tego nie można?”

Nie, zaiste, odwrócić już tego nie można. „Ale czemuż jest ta ciemność, jak się zwie, jakie jej imię?” Imię jej jedyne: możliwość takiego przyjęcia, które, żadnych istniejących rzeczy już nie pragnie, i do tego to właśnie stanu masz być doprowadzonym. I to odmienić się już nie da. Tak samo bowiem, jak materja spocząć nie może, dopokąd nie wypełniona jest wszelakim kształtem, tak i rozum nie spoczywa, dopokąd nie zostanie wypełnionym wszystkim, co tylko pomieścić w sobie zdoła.

Pewien pogański mistrz mówi: Niema w naturze nic szybszego ponad obieg ciał niebieskich, szybkością swoją wyprzedzały one wszystkie inne rzeczy. Ale zaprawdę: świadomość ludzka przewyższa jego szybkość. I gdyby możliwości tej odpowiadało działanie, gdyby nie wyszydzana i nie rozrywana mogła się trzymać zdala od rzeczy niskich i zmysłowych, wleciałaby wyżej, jak najwyższe niebo i nie ustawalaby nigdy, aż dopokądby nie dotarła do najwyższej sfery, gdzieby syciło ją i prowadziło najwyższe dobro, jakim jest Bóg.

I dla tego wskazaniem jest możliwości tej z oczu nie tracić, uważać się za wolnych i wyzwolonych i jedynie tylko ciemności tej i nieświadomości poświęcić całą uwagę, czepiać się jej, śladami jej postępować, na chwilę nie ustając; w ten tylko sposób zaiste, stanie ci się możliwem dotrzeć do Tego, który jest wszystkim. A im więcej w tobie samym pustyni i nieświadomości wszystkich rzeczy, tem więcej zbliżasz się do Niego. O pustyni tej jest u Jeremia-

za napisane: „Powiodę przyjaciółkę mą na pustynię i w sercu jej mówić z nią będę.” Prawdziwe słowo wieczności, jedynie w wieczności wypowiedzianem będzie, tam, gdzie człowiek pustynią jest, sobie samemu i wszelakiej różnorodności rzeczy dalekim i obcym. Tej też pustyni i oddali pożądał prorok, gdy rzekł: „Ach, któż użyczy mi skrzydeł, bym nakształt gołębia wzlecieć mógł tam, gdzie znajduję ukojenie?” A gdzie znajdziemy spokój i ukojenie? Zaprawdę, tam tylko, gdzie z wszystkich bytowych rzeczy będziemy wyzuci, opustoszeni i wszystkim tym rzeczom dalecy i obcy. W tej myśli mówi Dawid: „Obrabiałbym raczej: sponiewieranym i wzgardzonym przebywać w domu Pana, aniżeli w zaszczyty i bogactwa w gospodzie grzeszników opływać.”

Mógłbyś na to rzec: „Zaiste, Panie, czyż zawsze i koniecznie to być musi, żeby obcym być i dalekim wszystkim rzeczom i ogołoconym zewnątrz i wewnątrz z sił duszy i działania ich, czyż wszystko to koniecznie w otchłań rzucić trzeba? Ciężki to stan, jeśli Bóg tak po za swą obecnością zostawia człowieka, jeśli Bóg osamotnienie człowieka tak wzmaga, że nie przebywa w nim światłością, ni mową, ni radą, jak to pouczenie i mniemać się zdajecie. Gdy człowiek tak w całkowitej pustce stoi, ażali nie byłoby lepszym wówczas coś czynić, by tę ciemność i obojętność rozprószyć, gdyby na przykład modlił się, czytał lub słuchał kazania, lub też spełniał uczynki, które cnotami się zwą, i którymi mógłby się pokrzepić?” Nie, zaprawdę! i to zrozumieć musisz: w całkowitej i wielkiej ciszy, i pustce całkowitej trwać, jest największym dla ciebie dobrem. To zrozum. Nie możesz bez szkody dla siebie znowu ku jakimkolwiek rzeczom się zwracać. Zapewne: radbyś był być częścią siebie i Jego zarazem, ale to być nie może. Ty sam nie możesz nawet gotowości swej pomyśleć lub zapragnąć, jeśli już przedtem Boga tam nie było.

Przypuściwszy jednakże, że ta gotowość i działanie lub wypełnienie jest Jego i twoim udziałem, co przecież jest możliwym, to powinienes zrozumieć, że Bóg m u s i działać i napełniać, gdy tylko znajdzie cię w pogotowiu. Nie możesz być tego mniemania, że z Bogiem ma się tak, jak z cieślą, który według upodobania może działać lub nie, i że od Jego woli i chęci zależy, czy zechce coś uczynić lub też nie. Taką jednakże nie jest sprawa Boga: Bóg bowiem, gdy znajdzie cię na swoje przyjęcie gotowym, m u s i działać i w tobie się rozlać, tak samo, jak w czystym

powietrzu promienie słońca rozlać się muszą, oprzeć się temu nie mogąc. I zaiste, byłoby to wielkim boskiej natury uchybieniem, gdyby Bóg w chwili, w której cię znajduje wyzwolonym i na przyjęcie Jego z wszelakiej różnorodności rzeczy ogołoconym, wielkim dobrem w tobie się nie rozlał, działając tam rzeczy wielkie.

Starzy mistrze uczą nas, że w tym samym momencie, w którym materja na ciało dziecka w łonie matki jest gotowa, w tejże samej chwili wlewa w nią Bóg ducha swego, to znaczy duszę, która jest formą ciała. Być w pogotowiu i być wypełnionym duchem bożym, to jeden i ten sam moment. Wówczas, gdy natura dosięga szczytu swej dojrzałości, wstępuje w nią łaska Boża: w tejże samej chwili, w której duch jest gotowym, bez zwłoki i ociągania się wypełnia go Bóg.

W księdze „Objawienia” jest napisane, że Pan nasz oznajmił ludowi: „Stoję przed drzwiami waszemi i pukam i czekam: kto wpuści mnie, z tym będę ucztował.” Nie potrzebujesz Go szukać, ani tu, ani owdzie: On nie dalej jest od ciebie, jak przed drzwiami twego serca, tam stoi i trwa i wyczekuje, kogo na swoje przyjęcie znajdzie gotowym, któryby Mu otworzył i Go wpuścił. Nie potrzebujesz go przyzywać z oddali: dla Niego wyczekiwanie chwili, w której Mu otworzysz, cięższym jest, jak dla ciebie. On tysiąc razy więcej potrzebuje ciebie, aniżeli ty Jego: stworzenie i wejście to tylko jedno okamgnienie.

A teraz mógłbyś zapytać: „Jakżeż to być może? przecież ja go nie czuję.” Ale zważ: odczuwanie tego nie w twojej jest mocy, tylko w Jego. Jeśli mu odpowiada, ukazuje się, lub też się ukryć może, jeśli tego zechce. Bo to musisz wiedzieć: Bóg nie może pozostawić pustki i próżni, najmniejszej odrobiny niewypełnionej Bóg w naturze znieść nie może. Dlatego też jeśli ci się zdaje, że mógłbyś go nie znaleźć, i że w tobie go nie ma, to rzecz się ma inaczej. Bo gdyby coś pod słońcem znalazło się pustego, czyby to była rzecz mała, czy wielka, musiałyby niebo wchłonąć ją w siebie, albo musiałyby niebo skłonić się ku niej i w niej się rozlać.

Bóg, Pan stworzenia nie znosi żadnej próżni. Dlatego, trwaj w ciszy i nie bądź chwiejnym, bo zachwiałszy się, w tejże samej chwili mógłbyś na mgnienie oka oddalić się od Boga, i nigdy już więcej oblicza Jego nie ujrzeć.

ANIMA MUNDI

(Fragment powieści.)

JADWIGA MARCINOWSKA.

(DOK.)

Stoi w Anuradźpurze, na obszarach zgubiony i w obliczności tego lasu pomników bardzo obcy i drobny i ubogi kościółek.

Wydaje się jak zabłąkany i niepotrzebny nikomu. —

Brzydki... Na drewnianych ścianach zdawkowe malowidła stacy krzyżowych; ołtarz wykrojony niezgrabnie, przyozdobiony pstrokato... Płomyk nieustającej lampki migoce w pustce, rozsiwając światelko serdeczne i czujne, żywe... Przy wnijsiu po obu stronach o nagie ściany oparte dwa zielone liście palmowe; zajmują wszystką wysokość od podłogi do stropu; ustawione tu może w niedawną kwietną niedzielę...

Zabłąkany kościółek... Taki obcy wśród lasu dziwnych kamiennych i ceglanych dzwonów, i tysiącznych kolumn i niezatartych, szerokich a płaskich progów z wyrzezaną pełnią księżyca... Zda się, nikt tu nie bywa — nawet obecność przelotna takich dłoni, jak te, co niewidzialnie u podnóża „dagaby” składają pęki lotosów... Tylko światelko w lampce żyje i czuwa, a wietrzyk wpadający przez okno szeleści czasem w wyprostowanych od podłogi do stropu, stróżujących liściach palmowych. —

— „Po raz pierwszy znajduję się tak — przed księdzem — z duszą w bólu...”

— „Dlaczegoż to, mój synu?”

— „Bo daleko od rzeczy tych upływało moje wzburzone życie... Bo niedawno, niedawno przyniosła mię nagła fala od dalekości onej do stóp Chrystusowych...”

— „Czy pragniesz wypowiadać się, synu?”

— „Mój ojcie, nie wiem! chcę ci ukazać ból duszy...”

Ksiądz był staruszkim drobnym, szczupłym i kornym, zabłąkanym tu, zda się, właśnie jak ten kościółek... Twarz w okoleniu siwych włosów patrzyła z jakowąś smutną i nieśmiałą dobrocią. —

— „Mów, proszę... Uczynię dla cię, co mi Pan Bóg pozwoli...”

Wojciech wybuchnął;

— „Ten cały dookoła nas obszar ziemi — nienawidzi Chrystusa!”

Zaniepokoiła się twarz gołębia w otoczeniu srebrzystych włosów. —

— „Jaki obszar, mój synu?”

— „Indye!”

— „Nie byłem w Indyach...” powiedział ksiądz z prostotą.

— „Indye i Ceylon!”

Niepokój wybił się znowu na twarz nieśmiałą.

— „Czy jesteś tego całkiem pewien, mój drogi?”

Wojciech spojrzął nań ze zdumieniem; od dni i tygodni przebywając we mgle czerwonej, wyrzucił teraz imię jej z mocą grozy i napotkał wzamian — wyłknioną wątpliwość.

— „Pewien jesteś, że — nienawidzi...”

Była w głosie tym jakaś bardzo łagodna i jakby przychodząca z odległości zaduma. —

Wojciech odpowiedział pytaniem:

— „Czy oddawna mieszkasz, księże, w tym kraju...?”

Staruszek zakłósał białą głową gołębią:

— „Od młodości... Tak, od młodości! Dwadzieścia cztery lata mając, opuściłem „la mia patria...”

Coś mu się rozjaśniło w głębinach żrenic i wylało się na oblicze jakimś dziecięcym uśmiechem

rozrzwienia:

— „Sono Italiano... Urodziłem się niedaleko Asyżu...”

Wietrzyk szeleścił w wyprostowanych u wnijsia i sięgających do stropu wielkich liściach palmowych...

— „Całe życie tu przepędziłeś i nie odczuwasz...” rzekł Lechowicz porywczo.

Zakłopotał się ksiądz:

— „Ja się modłę...”

Urwał i zapatrzył się gdzieś przed siebie zgaszonymi już żrenicami starego i zmęczonego człowieka.

A Lechowicz, pogrążony w widmie czerwonym i w beznadziejności swego szeregogo bólu, powtórzył parokrotnie:

„Co przeciwstawić onej fali wezbranej? Czem zatamować tej nienawiści morze? I co czynić gwoli temu? co czynić?”

Ostatnie słowa zabrzmiały jak wyszarpięty krzyk.

Ksiądz stał ze zgiętą szczupłą piersią i nachylonemi ramionami, podobny do zdrożonego gołębia, w którym się serce trzępotało:

„Czy w tem jest twoja męka, mój synu?”

— „Tak!”

Wyciągnął obie ręce, jakgdyby odtrącając napastującą skądś zmołę:

„Widziałem — Nawracanie!”

Głos wzbiał mu się ponownie do rzuconego z wnętrzości krzyku:

„Widziałem dłonie z wieczystego źródła czerpiące dawki płytkie i skąpe... Widziałem dłonie, co w pośrednictwie duszom ludzi tutejszych przynosiły skąpe dawki zmętniające...”

Płytko! Płytko!”

Ksiądz nie poruszył się, tylko twarz mu stopniowo bladła i tak białała jak srebro tych włosów koło skroni...

A Lechowicz mówił już ciszej, z dźwiękiem głuchym:

„Widziałem szkoły polityczno-misyjne, gdzie religia drogę otwiera obcej kulturze i zaborczej władzy... Widziałem pracowników, u których myśl bardzo ciasna dobrą wolę koszlawi w przemyśle korzyści ludzkich pod osłoną Słowa Bożego...”

Roi się ten obszar ziemi od misjonarzy i rodzin misyjnych, kaznodziejów i wychowawców, przedsiębiorców na niwie zbawienia... Tęskniłem, by się — tam pokrzepić, dotarłem...! Pracuje kościół anglikański — tutaj patentowany i różne inne kościoły; współubiegają się w czynienie... Widziałem wszędzie to samo: z wieczystego źródła, za pośrednictwem rąk — jednakże gorliwych — płytkie dawki zmętniające...”

Dokończył jeszcze ciszej:

„Widziałem gromadę ciemnych chłopców, obojętnych i znudzonych nawałem mechanicznie odmawianych paciery... Ksiądz w sutannie białej przechadzał się między niemi, mając na twarzy tenże sam wyraz — wyczerpania i nudy...”

— „Czy to był Don Antonio?” — zapytał staruszek niespokojnie.

Lechowicz nie zwrócił na to uwagi:

„Nie napoją płytkie dawki tej ziemi, którą od wieków słońce pożera... Wysychają na niej jak krople znikome... Nie przeciwstawi się odrobina potężnemu ogniovi...! Słyszysz, ojcze? Jestem człowiek w tych rzeczach nowy, nie znajduję i cierpię...! Chciałem przynosić tu imię Chrystusa błogosławić sercem swem całem, ale widzę, jako to jest i nie mogę...”

— „O, mój Boże! mój Boże!” zatrzepotał się cichy głos w piersi księdza.

— „Nic mi na tę mękę nie powiesz?”

„Ja jestem prostakiem, dziecko moje... Jeżeli o Don Antoniu wspominałeś, to on wie lepiej ode mnie... O! oni wszyscy lepiej ode mnie wiedzą. Nie mnie przystoi wydawać o nich sądy...”

— „Mam przed oczyma ten obszar nienawiści... I cokolwiek się nań z Europy przynosi — w imię Chrystusowe, to jeszcze wikła i jeszcze pogarsza zło... Nieznajomość Chrystusa jest złem, a — nawracanie Doń nie nie leczy...! Taka niemoc w tem wszystkim i taki w tem brak nadziei!”

W chwilowej ciszy, która zaległa po tym wybuchu, do uszu Lechowicza doszły półgłosem wypowiedziane słowa:

„Ja nie nawracam...”

Mrok wczesnego wieczora wpłynął w nawę kościółka nieoznajmionym strumieniem... Szybko zgaszał dzień, zabierając żywotność z barw otoczenia, a przybłąkły koloryt widniał jeszcze przez moment jak w odgradzonym od świata i przytartym obrazku z średniowiecznego mszału... Ksiądz, wśród tego podobny do jakiejś wywołanej z przeszłości drobnej i wiotkiej postaci pustelnika, mówił w zamyśleniu i jakby z tłomaczącą się przed nim pokorą:

„Dlatego prosiłem, aby mi dano tutaj miejsce najpośledniejsze, milczące, na uboczu... Ja nie nawracam... Jeśli ktoś tu przychodzi, modłę się z nim pospołu, jeśli niema nikogo, modłę się sam w cichości...”

Wydało się Wojciechowi, że ciężar, w sercu noszony od tylu miesięcy, tonęła się jeszcze, i pomnaża, i naciska nieublaganie, jakby rzucając wszystką siłą człowieka na ziemię w gorzkim bezwładzie:

„Kędyż jest droga, po której może przyjść uleczenie. Który jest sposób, aby świat się przekonał, w czem dobro jego leży..?”

Zabrzmięło to jak ostatnie z szukającej duszy wydarte na zewnątrz zawołanie...

Jeszcze bardziej pochyliły się ku przodowi ramiona starego księdza, jakgdyby litościwie podźwignąć chciały, a nie mogły, przygarnąć miłościwie pragnęły, a nie śmiały...

W kościółku już zalanym ciemnią wieczora, gdzie tylko płomyk lampki się świecił jak czujna iskra uczucia i niewidzialny powiew szeleścił w stróżujących liściach palmowych — przeleciał Anioł Smutku... Lot był taki subtelny, że ktoś wypowie, czy to promień od jego skrzydeł zamigotał większym rozbłyskiem w świetelku przed oblicznością ołtarza, czy to jego pióra zaszeptaly westchnieniem w wyprężonych postaciach warowników — liści u drzewi...

Ksiądz powiedział:

„Wybacz mi, synu, że tak mało dla ciebie uczynić umiem, tak mało... Ale — może mi Pan Bóg chociaż trochę pozwoli... Ja się będę modlił za ciebie...”

„Czy krąży gdzieś nade mną i działa... ta modlitwa utrudzonej, pokornej duszy...?” myślał czasami Wojciech w jakiejś przelotnej chwili.

Przebywał obecnie w najrozkoszniejszym punkcie rozkosznej wyspy i w balsamicznym klimacie krzepił swe siły gwoli rodzącemu się coraz wyraźniej zamiarowi...

Jest wśród obszarów świata ustronń przeczudna, jak rozkochane marzenie. Jest wypieszczone miejsce wytworne i podobne do miłosego uśmiechu, który, zda się, nie wie o niczem bolesnem i smutnego nic nie pamięta. Imię jego powinno być jasność a drugie równorzędne kwieciłość... Imię jego mówić powinno, że oto miejsce — najłagodniejsze w świecie...

Okolice górzysta; stoki porośnięte drzewami, które są jak olbrzymie kolorowo płonące bukiety, taki kształt rozłożystych konarów i taka roztoz olśniewająca kwiecia. —

Długie, najcudowniejsze gałęzie nisko zwieszone zanurzają się w wodę jeziora...

Boć i ono tu jest, — uśmiechające się taflą przezroczystą, łaskawie rozmarzone. Zadumanie jego jest takie słodkie a poszept pieszczotliwy; здаje się mówić: „Poddaj się urokowi...”

Oto siedzi człowiek zdrożony, a w tej chwili całą rozkosz odpoczynku odczuwający, pod nawisłą kopułą gałęzi okwieconych różowo, nad tą przeczudną, czarowną, cichą wodą... Woń i słodycz powietrza upajają — do rdzenia duszy, woń i słodycz — kładą myślom smugi świetlane, woń i słodycz kołyszą...

Znużone oczy dźwignęły się ku górze, rozweseliły się zagnały w tem zachwyceniu, które nigdy nie spowszednieje, za każdym razem siłę mając tę samą... Widzą oczy szereg palm najpiękniejszych, z całą sprawiedliwością „królewskimi” nazwanych. Pnie równe, strzeliste a nad wyraz potężne, majestatyczne i jak toczone. Nic z onej cienkiej chybotliwości i częstych wykrzywień, które się snadno wśród innych palm napotyka. Chwała olbrzymich liści roztacza się wkrąg jak korona...

Na przeciwnym brzegu wysokim dysze czar roślinności splecionej, gęstej, najrozmaitszej, zewsząd ku wejrzeniu słońca śpieszącej i pełnej życiowego wesela.

Jeżeli pójdziesz którąś z tych ścieżek, po tych stokach kwitnących naokoło jeziora, narazie oszalejesz w słodkim zachwycie i zgubisz się sam przed sobą między ścianami zwartej zieleni, kędy palmy smukłe odmian wszelakich, i śliczne drzewo „Chlebowe” z nieopisaną świeżością zębiastego listowia i drzewo „Dżek” obciążone kolosalnej wielkości owocami, a wszystko w zawrotnym uścisku lian powikłanych, z podziemcem krzewów nieprzeliczonych, w upajającym zapachu... Gędźba ptaków różnostrunnie podzwania jak misterna kapela, a szmery milionowe owadów zlewają się chwilami w ogłuszająco donośny syk...

Idziesz, a nad twą głową het! kędyś załomotały ze skrzypem giętkie wierzchołki przeolbrzymiego bambusu... Albo przy zakręcie drożyna pobiegła w gąszcz tajemniczy: jest prawie ciemno od natłoku drzew tam skupionych, sączy się z trudem złota siatka promieni, fantastycznie rysuje się chaos nieskończonego przepychu różnych liści... I zawsze ten niemilknący gwar rozśpiewany wszystkosciami pulsów i brzmień

Dyszy bogactwo życia...

Albo jeszcze zagnała otworzy się widoł na roześmianą we wszystkich barwach dolinę. Pierścien skalistych gór błękitnieje, a od nich w dół półkragami stopniowemi zlatują strzępiaste palmowe gaje, i rozłożyste mangowity drzew ogrody, i jeszcze niżej półka ryżowe, nieporównanie jasnej zieleni...

Zachwyt, który spadł tu na ciebie, upaja, a nie przytłacza, nie potrząsa, lecz uszczęśliwia. Oddziaływa łagodność tego czaru; słodycz w zestawieniu kolorów, łaskawość słów ca, które tu nie ma okrucieństwa złotego ani pożerającej grozy... „Bajko ty czarnoksiężka, powiadasz sobie pocichu; balsamie bajki przesłodkiej upieszczającej serce zdrożone...”

Pobyt w Kandy mocen jest wypić z pamięci wszelką gorycz i rozhartować zaciętość wszelkiego bólu. Atmosfera błogości opanowuje jak sen o kochaniu, rozmięcza jak sypanie kwiatów na skrofi...

Na Lechowiczu odbiło się to całkiem przeciwnie. W nagłym i niewymownym zwrocie wyprężyła się wola... Wśród miękkiego czaru niespodziewanie ból stwardniał, a dusza bardziej niżli w tym całym czasie, a zupełnie inaczej cofnęła się włąb siebie. —

Zawołanie w ciemnym kościółku było, zda się, ostatnim krwawym krzykiem niemocy. Droga wskazana nie została, ani wynaleziona; żaden jasny szlak nie przecinał uciążliwego splątania rzeczy; nie złożyły się nigdzie krawędzie błogosławionej ścieżyny, po której znijdzie na świat zrozumienie, gdzie jego dobro leży... Aliści pomimo to musi być — Czyn! Niech przedziera się — przez bezdroże...! Jego osobisty, z siebie poczęty, niepowstrzymany czyn...

Okres poszukiwań wypalił się w męce i na dnie wszystkiego drgnęła niespodziewanie natura dawna, którą człowiek sam uważał tak długo za doszczętnie rozbity i zniszczoną. —

Poprzez wiele miesięcy z charakteru przeszłości ujawniała się tylko — zdolność do odczuwania ogromnej skali bólu i walczącej w szamotaniach skrwawionych niepokój... Teraz w jakimś niewysłownym momencie — całość podniosła głowę;

Czyn!

Niechaj będzie chociażby dokonany naosłep i niechaj się wyczerpie, umierając we własnym wysiłku samotny i impulsywny czyn! Oto rodzi się on: nieodparcie z ukochania nowego, któremu służy zmar-twychwała dawna natura, tak jak służyła ongi tamtym ideom — namiętnością wcielenia... Trzeba działać.

Powitał człowiek wskrzeszenie samego siebie...

W samotności wyszedł z rzeczy nierozpłatnych. — Oto w oderwaniu zupełnym, na obszarach świata i czasu, znajduje się li tylko on i Idea, w obliczu której i dla której chce wyczerpać krew z swego serca i życie z swej istoty. Na obszarach świata i czasu widnieje tylko Idea Chrystusowa i on, dusza ludzka, tak przejęta umiłowaniem i taka w tem pierwotna, wyłączna i świeża, jakgdyby się jej pierwszej i jedynej objawiła postać Przychodzącego od Ojca w niebiesiech... Nie masz w tej chwili zagadnienia, dlaczego chrystyanizm od dziewiętnastu wieków przemawiający do ludzkości o Chrystusie, nie nasycił głodnych serc ani powstrzymał rozprysku oszalałych fal w różne strony... Zagładzone są na tę chwilę tradycje historyczne, sploty faktów i praw, metody i załomy... Myśl nie znalazła nigdzie tej dźwigni niewątpliwej, która podniesie nad chaosem niechęci powszechność zbawiającego działania, a przeto odjęła się od wszystkiego przekreślającym nawrotem włąb — aż do brzegów osobistego jeno odczucia i do stanu podatności dla najwcześniejszych objawień... Na opuszczonej przestrzeni panował nakaz serca...

Zaśmiał się teraz Lechowicz z własnej niegdyś nadziei, że upływają siły życiowe, że policzone są jak krople dni bólu... Śmiał się z pobłażliwością wzgardliwą na przypomnienie, że mógł niedawno wschłuchiwać się z ulgą słabości w poszept mówiący, iż wycieka moc z niezdolnego ciała. — Po raz pierwszy zapragnął ozdrowieć i wiedział, że tak się stanie — chociażby na miesiąc czy pół miesiąca, na tydzień czy na dzień — jeżeli — dnia jednego potrzeba... Z nieznaną sobie dotychczas spokojną zaborczością pil prze-słodkie powietrze w Kandy i poddawał członki dobropczynnemu oddziaływaniu świetlistości łagodnej i czysy. Kwiecisty urok najśliczniejszej ustroni był mu lekarstwem ocenianem na miarę tej zewnętrznej pomocy, nie pozatem i właśnie jakgdyby prawem nagłego przeciwieństwa człowiek tężał w sobie tembardziej, im cudowniej uśmiechała się wokół miękkość snu o rozkoszy...

Czar spływał po zamkniętej piersi...

Bowiem oczy Wojciecha żyły w jednym widzeniu. —

W przeciagu wędrówek po Ceylonie tam i napowrót, jak kiedy gna gorączka, a obrazy najroz-maitsze zeszliugują się tępo z mózgu, a miejsce żadne nie zapewnia rękojmi spokoju, Lechowicz coraz mocniej i coraz wyłącznie przejmował się tem określeniem Chrystusa: oto Słowo, które przestworzy świat... Nie powiadał już jak w początkach: „Nie ogarniam, czym jesteś, choć miłuję.“ Zdawało mu się dotknąć wewnętrznego znaczenia i że dzisiaj wie, dlaczego miłość przynosi. — Pojęcie Chrystusa stało się dlań jednoznaczne z twórczością przetwarzającą życie świata, każdy szczegół owego życia, aby z padółu podziw-gnion był w wyżyny, z ciemności w światło i z bólu w glorię szczęścia... Idea nabierała rysów żywych, wypukłych, przejmujących; stopniowo poczęła się uosabiać; pod wewnętrznym wzrokiem wyrastało widzenie...

Była to jakby obecność wyczuwana każdym wrażeniem; istniał ktoś, był realnie i ciągle, aczkol-wiek w niewysłownym sposobie; Chrystus był, — jakgdyby niewymownie świetlisty Człowiek nadludzkiej miary z głową w gwiazdach i ze stopami opartymi wśród ziemi w oczekiwaniu, aby Go na niej poznano...

Oczy — wiedziały o tej Postaci, odkrywając Ją w każdej chwili i odchodząc ku Niej od zjawisk obejmowanych zmysłami, wzrok wewnętrzny pociągał za sobą władzę żrenic.

Chrystus był — jako przyszedł przed dziewiętnastu wiekami „do swej własności“ i jako od dziewiętnastu wieków już czekał, aby „przyjęli Go swoi...”

Chrystus był i zapelniał Sobą widnokrąg świata od przepaści ponad gwiazd górowanie i widnokrąg duszy od męki aż do chwały...

Jakie to jest niezmiernie proste i wołające o czyn... Znikło absolutnie pytanie o niedostateczność dróg w Kościele i o brak powszechnych sposobów i razem z tem zniweczono żądło wątpliwości i bólu... Oto jeden Kościół — dusza, która ujrzała... Narodzi się w niej działanie. —

Jakie to proste i dające szczęśliwość bez miary! — Czyn będzie powiedzeniem, że — jest Chrystus wśród świata... Jak wypowie? Krzykiem słowa czy krwi? wyrazami czy życiem? przez lata czy w momencie? Zaiste, mniejsza o to! Dusza jedno wie, że wyleje się w tem do kropli, wywiąże ze wszystkiego do rdzenia i wzniesie — jako wonność w kadzidle wiecznej czci.

Długie gałęzie obciążone cudownem kwieciami muskały jasną powierzchnię cichej wody; jezioro w przeczystej głębi odbijało brzeg przeciwny dyszący upojeniem roślinności w tęczy kolorów; stoki wzgórz były jedną kwiatów powodzią i zstępowały z tym czarem aż do toni...

Lechowicz miał na kolanach wpół otwarty list, odczytany przed chwilą. Zamyślił się nad jedną w nim rzeczą, zapominając o reszcie, aczkolwiek była tam nieśmiała a wdzięczna subtelność młodych uczuć, jakby tęsknie przysłane płatki pachnącej róży i nieśmiały, cichutki promyk dziewczęcej nadziei, jak migocząca wśród liści nitka blasku złotego...

„Kochany Mr. Lechowicz, pisała Lea; z wielkiem trudem dowiedzieliśmy się o pańskim teraźniejszym adresie, t. j. ... dowiedziałam się ja... Żałujemy, t. j. ja żałuję, że pana obecnie tutaj nie ma. Bo czujemy się tacy szczęśliwi! Utworzyliśmy tu w Towarzystwie oddział Wschodzącej Gwiazdy, jakgdyby Betleemskiej, pan wie? Jesteśmy jakby owi mędrcy z daleka, a także, co ja wolę, jak pastuszkowie, którzy pierwsi za gwiazdizmem wezwaniem pozdrowili Mesjasza... Musimy nauczyć się dawać światu tę nową dobrą wieść jak promienie przez Gwiazdę rozciągane... Niezadługo rozejdziemy się w tem posłannictwie — jak świat szeroki. O, Mr. Lechowicz! nieprawdą jak to szczęśliwie, że się ponad tą smutną ziemią nowa Gwiazda zapala..! Jak Betleemska niegdyś, ale ta będzie jeszcze świetniejsza i trwalsza, prawda, panie?

Ja sobie nieraz myślę, że panby to najlepiej zrozumiał i odczuł i potrafił innym tłumaczyć, bo w panu coś jest takiego — do tych rzeczy... Ja oczywiście nie mam jeszcze doświadczenia, jakimi są ludzie, ale to czuję. Czy pan tu do nas nie przyjedzie? a raczej — kiedy? Myślę, że chociaż pan z nami tego tu... nie przeżywa, to jednak... chyba ułożyło się w panu i wyjaśniło przez ten czas wszystko, wszystko...!

O, jaka to być musi ogromna radość pracować... z odpowiedniami i najlepszymi ludźmi dla takiego najpiękniejszego celu...”

Czy powrócił Radza, Aryjczyk wedle serca upalnych Indyi, z dalekiej, tak dalekiej podróży za przewodem gwiazdy podobnej do różowego blasku kwitnących drzew? Czy nie przyniósł nic, żadnej wieści, od której już na wieki nie zgaśnie żadna z dusz wylesnionych, wydobytych z objęcia nocy...?

Różowo i świetliście jest w najcudowniejszej krainie, jak kiedy gwiazda zaranna z warkoczami jutrzeńki splota włosy swe złote... Nie przeminała wieść Betleemska; Chrystus stoi wśród świata, oczekujący, aby Go wreszcie poznano... Chrystus ma w piersiach słońce, które ludzkość przetworzy, każdy obszar i szczegół, każdą nędzę i trwogę, każdą żądzę i łzę...

Chrystus...

Ale u Jego stóp niewidzący palą błędne ogniki, odwrócenie stwarzają nowych mesjaszy, obłądka wyobraźnia w pysze widmo hoduje!...

Pragnienie czynu zapłonęło jakimś twardym uczuciem, zacięło się zawziętością bojową. — Zmiażdżyć fałszywe bogi, któremi uwodzi się zaślepienie! Wybuchnąć olbrzymiością słusznego gniewu i zatrzęsnać posadami sztucznych przybytków, gdzie tworzą się fabrykaty! Ponad prochami bezwiednego lub świadomego oszustwa i karłowatych prób — zagzmieć do ludzkości tą wieścią, że Chrystus jest wpośród świata niepoznany i nieprzyjęty przez ciąg dziewiętnastu stuleci...

Z pogrzebanych, a ongi krwawo pochurnych dni młodości, wynurzyły się, zda się, skłonności wojownicze, jak nieprzedawnione rycerskie ujęcie kopii w zapasach za ideę. Nerw bojowy grał w sercu, jako ongi bywało pod chmurą młodych dni...

W ciszy powietrza zadźwięczał głos tam-tam'u i na tle tem piskliwie dęcie fletu. Rytm był pośpieszny a cała rzecz monotonna krzykliwie i pozbawiona osobliwości hinduskiego „nabat'u”. Bo „nabat” jest wyteżeniem ku bóstwu, którego szuka, zasię budyści tylko się nawołują...

Okrągłe ząbkowanie muru wkoło świątyni odcinało się w dniu przejrzystym swoistością rysunku, a poza murem tym i na schodach już snuł się tłum wysmukłych i ciemnoskórych i nieledwie jednakowych postaci...

Mężczyźni o ramionach szczupłych, wydatnych piersiach, drobnych rękach i nogach; twarze niemal zawsze pozbawione zarostu i bardzo piękne, bogate uwłosienie. Dla obu płci strój nieledwie jednaki z bardzo drobną różnicą; dookoła biodr aż do kostek „komboj”, czyli płat kolorowej albo białej tkaniny, stwarzający obcisłą spódnicę; górne męczyzn okrycie kaftan prosto krajany, dosyć długi i luźny, na kobietach kaftaniki białe i obcisłejsze, sięgające tylko do pasa i głęboko wycięte u szyi. Kolczyki w uszach u płci obu również bogate. — Ale na włosach kobiet nie znać szczególniejszego starania, zazwyczaj niezbyt obfitej z lekceważeniem ponad karkiem splecione; natomiast mężczyźni młodzi posiadają je częstokroć do pasa, rozpuszczone, faliste, bujne i z przepysznym połyskiem czerności niezgłębionej. Niekiedy zgarniają przepych ten w wielki węzeł upięty z tyłu głowy, przystrojony grzebieniem z tarczy złotowej.

Tłum oczekuje cierpliwie, każdy ma w rękach przygotowaną ofiarę, płaski talerzyk grubo pokryty drobnym kwieciami; najubożsi poprostu garść tych kwiatów trzymają w skupieniu obu dłoni. —

U szczytu schodów „Maligawa”, świątynia Zębu, w czworoboku dość brzydkich klasztornych zabudowań świeci się jak barwista, dwupiętrowa altana. Pięterko dolne otoczone kolumnkami w stylu hinduskim i w napuszczeniu złotawego koloru; malowane są i ściany zewnętrzne i strop, widnieje wszędzie powtarzana postać Gautamy-Buddy i rysunki z lilii wzorzystych, rozmaicie zwikłanych, a przeważa barwa złocisto-żółta oraz czerwona. Wszystko nakryte nawisłym rąbkiem dachu. Pięterko wyższe bardzo szczupłe w obwodzie, pod strażą cienkich słupków i niskiej balustrady. Dach spadzisty a znamienne wysoki. W malowidłach, które każdą piędź pokrywają, przemagający obok czerwieni kolor ciemno-niebieski i zielony.

Słońce kładzie uśmiech łaskawy...

W przedsiönku na pierwszym piętrze ogarnia zapach kwiatów tak silny, że aż powietrze przesysca, stając się odorzeniem. Na niskich stołach przysposobione gęste warstwy, przede wszystkim białej „plumiery”, ale zjawia się także lotos i kwiat oleandru. — Oddrzwia do przybytku misterne a szczególnie, bardzo kosztowne, wykładane srebrem i złotem, po obu stronach wsparte o ziemię dwa olbrzymiej wielkości kły słoniowe; samo wniósćie zawieszzone zasłoną wyhaftowaną rękoma najmożniejszych pań z syngalejskich pobożnych rodzin. —

Przekupnie wedle stołów odmierzają przygarście, podają talerzyki. Flet ciągle dźwięczy i tam-tam nawołuje.

Nadeszli mnisi. Natężenie ciemno-żółtego koloru szat przy brązowych członkach staje się pięknym zespołem; twarze po większej części apatyczne i zimne. — Otworzyli drzwi za zasłoną i tłum z kwiatami pogarnął się na górę.

W ciemnej dusznej komnacie lampy słabo migocą. Za wylacaną kratą na srebrnym stole w migotaniu onem przeziera parolokciowej wysokości srebrno-złota „dagaba”. We wnętrzu jej podobna druga mniejsza, i znowu trzecia, i tak dalej do siedmiu, a przepych roślin w stosunku odwrotnym do zmniejszającego rozmiaru. Pod ostatnią, która ma być zupełnie pokryta rubinami — na szczerolotym lotosie spoczywa „Dalada” święty ząb Tathagaty...

Flet jeszcze dźwięczał i gong nawoływał krzykliwie. Pod kopułą wonnych gałęzi, muskających przejrzystość wody, na laweczce przy Lechowiczu siedział od paru minut Angarika Bhikku, spotykany przelotnie parę razy. Opowiadał przez chwilę o niezmiernych bogactwach, które fale pielgrzymie nie tylko z całej Lanki, ale może jeszcze bardziej z Birmanii, Siamu i z Japonii nawet znoszą tutaj ku czci „Dalady”. Metale drogie, klejnoty, kość słoniową. Bo niemasz oczywiście religii panującej na świecie w tak ogromnym rozlewie, jak święta nauka Doskonałego. — Pięćset milionów ludzi na przestrzeniach Azji naukę tę wyznaje, a i w Europie ostatnimi czasy znajduje ona raz po raz zwolenników, rozszerzać się tam poczynają...

— „W Europie?” — powiedział Wojciech. Nie! tam dla was przyszłości niema, to jest zupełnie zabawne przypuszczenie!”

— „My coś o tem wiemy! rzekł Agarnika chępliwie. Przychodzą do nas od was... Tak! z Europy! Oto przez cały szereg lat był tu z nami jeden bhikku Europejszcyk... Może go pan znał tam u siebie?”

— „Europa nie jest znów tak mała, aby wszyscy się spotykali...”

Angarika zamyślił się, podnosząc swoją chudą brązową twarz o nagim czerepie:

— „Ten pochodził ze Szkocyi...” przypomniał sobie.

— „A ja byłem z najzupełniej innego kraju...” odrzekł Lechowicz.

I wtem na mgnienie uderzyło go, że powiedział o Ojczyźnie swej w przeszłym czasie.

— „Mieszkał z nami przez wiele lat, mówił znów Angerika; odszedł teraz, ale wiem, że powróci...!”

— „Ha! odszedł?” spytał Wojciech z jakimś nagłym wzruszeniem.

Angarika uśmiechnął się z dumą:

— „U nas wolno wyjść i — powrócić! Nie używamy najmniejszego przymusu. Nie potrzebuje tego najędrze prawo! Tamtemu wydało się, iż jeszcze czegoś taknie nazewnątr, więc niech szuka! Wiem, iż przyjdzie z powrotem! Bo któż da szukającej myśli schronienie, jeśli nie Budda i nie Dhamma ¹⁾ i nie Zgromadzenie uczniów Obudzonego!” ²⁾.

Dusza Wojciecha twardą była w tej chwili jak pierwotna rycerskość przepasana — do walki — za swą wiarę... Twardo i szyderczo zabrzmiał śmiech bojownika z odstępcy-chrześcijanina nie mogącego znaleźć zaspokoienia...

Nad pieściwym urokiem cudownego jeziorka, w obramowaniu wzgórz kapiących od kwiecia, popłynęła pogarda w namiętnym, twardym śmiechu...

¹⁾ i ²⁾ Formuła wyznaniowa przy wstępowaniu do klasztoru buddyjskiego.



Akt (dramowy) — Jerzy Kłoss.

RÓNDÓ WIOSENNE.

*Idzie ta kra po wodzie,
Jak życia mego szczęty
Z boju, co z świtem wszczęty,
Kończy się o zachadzie — —
Jak życia mego szczęty,
Płynie ta kra po wodzie.*

*Wód przestwór nieobjęty
Płonął o słońca wschodzie,
Gdy szczęścia mego łodzie —
Nadziei mych okręty!*

*W królewskim szły pochodzie
W wód przestwór nieobjęty
O słońca złotym wschodzie —*

— — — — —

*Strzaskane szczęścia łodzie,
Życia mego szczęty,
Wchłonięte w fal odmęty,
Kładą się na ich spodzie —*

Coś piszą pian zakręty —

STEFAN STASIAK



Stefan Samoj — drzeworyt.

LISTY LITERACKIE.

II.

(*Nasz romans historyczny. — Trylogia powieściowa*
Wł. St. Reymonta „Rok 1794.”)

W ciągu dziewiętnastego stulecia, w naszej twórczości literackiej wybitne i znamienne miejsce zajmował romans historyczny. Nigdzie w Europie nie posiadał ani takiej, jak u nas rozległości, ani takiej dynamiki uczuciowej, ani tak nieprzerwanej ciągłości. Zaznaczyliśmy już istotę samego zjawiska: gdy niewola tłumila wszelki swobodny oddech chwili bieżącej, społeczeństwo karmić się musiało obrazami pełnego życia w Polsce historycznej. Była dość długa epoka, gdy genialne wizje Waltera Scotta czarowały umysły całego świata. Już wówczas jednak czyniono co do konstrukcji romansu walter-scottowskiego liczne zastrzeżenia, których echa rozbrzmiewały u nas. „Wyrwać — pisze krytyk Bibl. Warszawskiej w roku 1842 — całą krainę w pewnym okresie, z wszystkimi jej właściwościami, z wszystkimi pięknościami, całą wewnętrzną barwą, ludźmi, językiem, ruchem, powietrzem i stawić ją przed oczyma ożywioną, — byłoby to coś czarodziejskiego. Ale to właśnie jest powodem, że ten utwór sztuki, ogarniając tak wielką przestrzeń i tak rozmaite, staje się niezmiernie różnorodnym. Wdziera się w posiadłość dramatu, eposu, historii, antykwaryszostwa, kronikarstwa, nawet w posiadłość malarstwa. Pochłonięcie tylu rozmaitych pierwiastków nadaje mu nazbyt wielką objętość, a ich zmieszanie pewien brak wydatności. Zlewają się one jak odległe przedmioty w niewyraźnie oznaczoną całość.”

Romans historyczny zaczął w Europie z wolna przyspasać pod wpływem nowoczesnej powieści realistycznej, aż w końcu stał się zjawiskiem rzadkiem, nęcącym umysły niewielu twórców.

W Polsce stało się inaczej. U nas powieść historyczna, po za swym celem artystycznym, rzadko osiąganym w stopniu wysokim, miała jeszcze spełniać zadanie wychowawcze-społeczne: jednoczyła rozpraszane w niewoli żywioły narodu, rzucała z teraźniejszości uczuciowe ogniwa w przeszłość, wzmacniała słabnącą w jarzmie niewoli świadomość narodową przez obcowanie z obrazami samodzielnego i wspaniałego bytu przodków. Naogół biorąc, powieść ta nie była dokładnym przewodnikiem historycznym w tym sensie, jakiego pragnął dla swego narodu Skarga, gdy mówił w Kazaniach Sejmowych, że „zaczyna rzecz jest mieć rozum pełny wiadomością historyi, bo historia jest mądrość w kupę ułożona i rozum ludzi wiele w jedno zebrany.” Idealizując najchętniej zwycięstwa i siłę, powieściopisarze historyczni zbyt pochopnie przesłaniali klęski i momenty wyraźnego upadku. Ale stawianie przed oczyma świętych czynów bohaterstwa i patriotycznego poświęcenia syciło dumę narodową, poniewierając przez wrogów, a niedocenianą przez zbyt pesymistycznych sędziów dawnego państwa polskiego i zbyt bezwzględnych nauczycieli energii narodowej. Gdy wreszcie losy

dały Polsce genialnego twórcę Trylogii, powieść historyczna stała się naprawdę wielkim „pokrzepieniem serc” dla tych, przed którymi, zda się, na zawsze zamknięto wrota lepszej przyszłości. Okres najwspanialszego rozkwitu powieści historycznej wywołać musiał próby budowania jej teorii. Zwykły to objaw w dziejach literatury. Ale teoria okazała się, oczywiście, złudną, jak wszelkie teorie rodzajów literackich, pragnące ująć w niezmiennie, mechaniczne formułki żywą, zmieniającą się bezustannie istotę indywidualności twórczej. Zygmunt Kaczkowski w swej krytyce „Ogniem i mieczem” żądał, aby powieściopisarz historyczny odtwarzał całokształt zjawisk danej epoki, aby stawiał przed oczyma czytelnika „obraz cywilizacji danego narodu w różnych warstwach społeczeństwa”, aby wciągał do powieści jak najwięcej czynników społecznych, przedstawiał jak największe bogactwo objawów życia ludzkiego. Z takiego założenia wynikało, że podstawą artystycznego tworzenia w dobrej powieści historycznej musi być bezwzględne posłuszeństwo historyi. Kaczkowski wprowadził tę dokładność pojmował dość rozległą, gdyż chodziło mu przede wszystkim o „myśl dziejową”, o uwydatnienie, w jaki sposób „geniusz narodu wyraził się w danych wypadkach i w danej epoce.” Jednocześnie przecież nie pozwalał artystyce wprowadzać danej postaci do powieści w innym charakterze, tylko w takim, w jakim pokazały ją badania historyków.

Krucze podstawy tej teorii obalono już w swoim czasie. Dzieło sztuki nie może mieć celu naukowego, a współzawodnictwo powieści z historią jest fikcją. Kto chce uwydatnić „myśl dziejową” z całą ścisłością, łatwiej to uczyni, gdy będzie badał rzecz źródłowo, niż gdy przyjmie materiał z drugiej ręki. Powieściopisarz nie zdoła nigdy uwzględnić w ciasnych ramach jednej narracji wszystkich czynników cywilizacyjnych opisywanej epoki. Im bardziej jest artystą i twórcą, tem mniej krępować się będzie więzami całkowitej prawdy historycznej i punkt ciężkości przeniesie do obrazów własnego marzenia na tle określonych osób, czynów i wypadków. Chodzi tu nie o najwierniejsze odtworzenie faktu, ale o prawdę i wyraz marzenia, to jest o żywioł związany z istotą indywidualnego talentu pisarza. Twórca objawi się w samym już wyborze materiału historycznego, w samym rozbudowywaniu zebranych faktów; ale fizjonomię Swą właściwą ujawni dopiero po za materiałem czerpanym od innych, dopiero we własnej wizji przeszłości, którą maluje. Będzie to wizja wewnętrzna możliwych form życia, nie zaś — służba historyi.

Zwrot Reymonta do powieści historycznej był niemałą niespodzianką dla tych, którzy znali jego talent. Dla czego ten świetny malarz życia nowoczesnego poszedł w ślady większości swoich wybitnych poprzedników?

Domysły genetyczne są zawsze tylko domysłami. Ale związki pewnej koniecznej następności w historii motywów twórczych Reymonta narzucają się same. Każdy pisarz rasowy posiada jedną, najwybitniejszą

chwile rozkwitu, która ujawnia w całej pełni jego znamiona, a w znamionach tych wydatnia wszystkie odrębności indywidualne. Podobną chwilę w twórczości Reymonta stanowili „Chłopi.” Ta świetna rewalacja żywiołowego, samorodnego, świeżego talentu stanie się na zawsze pomnikiem sławy pisarskiej Reymonta, nakryje swym cieniem wiele tegich jego pism poprzednich i późniejszych. Losy sprawiły, że „Chłopi” zaliczeni już zostali do niewielkiej liczby naszych utworów literackich, które zdołały przekroczyć granicę języka i zyskały szeroką popularność u obcych. Z Niemiec to zwrócono się do Akademii Umiejętności w Krakowie z wnioskiem, iż należy się upomnieć o nagrodę Nobla dla autora „Chłopów.”

Epos Reymonta, malujący „roboty i dni” chłopów polskiego w ciągu całego roku, ukazywał jego cechy zasadnicze: przywiązanie do ziemi, dostojność wewnętrzną, ciche bohaterstwo codzienne. A przytem postawił we wspanialej i pełnej syntezie życie gromady, t. j. wieś polską. W tej realistycznej opowieści nie mogło być miejsca dla objawów takiego patryotyzmu, który płynie ze świadomości narodowej. Była jednak dawniej chwila, która napawała dumą pokolenia, chwila, gdy wiara chłopska „rękami czarnemi od pluga” zdobywała działa: — to Racławice.

Literatura zbliżała się do chłopów kościuszkowskich dość lekliwie. Przez długie, długie lata w naszym literackim odtwarzaniu życia chłopskiego panowała dążność, którą by można nazwać kmiotkowością. Stając przed chłopem z hasłem: „zszlachta polską polski lud!”, pisarz dostrzegał w nim: potulnego, bogobojnego baranka, bardzo przywiązanego do ziemi; kolorowy, malowniczy strój; malownicze zwyczaje; zadowolenie ze swego losu i — wszelkie cechy „pocziwości”, które były dogodne dla obserwatora. Chociaż więc bitwę racławicką opromieniała najpiękniejsza legenda narodowa, nie znalazła ona w literackiej twórczości polskiej dostatecznego oddźwięku, „Krakowiak Kościuszki”, piosenka G. Ehrenberga o Głowackim, kilka bładnych wierszy A. Górskiego, rozwlekłe i kmiotkowo-mdłowe „Racławice” Lenartowicza, kilka drobnych utworów Żuławskiego i Konopnickiej — to bodaj cały nasz literacki dorobek racławicki. Melodramat Anczyca, jako widowisko popularno-patryotyczne, spełnia swe zadanie przednio, ale z literaturą mało ma przecież wspólnego.

Racławice oczekiwały zdawna swego epika. Reymont pozornie tylko był obiektywnym malarzem rzeczywistości; w jego zbyt długim zatrzymywaniu się nad barwą przedmiotów, nad czarami natury było zawsze pełno tęsknoty do jakiejś własnej rzeczywistości poetyckiej, wyrazistej, powiększonej. Racławice musiały go znieść wizję chłopca-bohatera, jakiego życie w Lipcach nie miało, a który przecież, dla uzupełnienia epopei chłopskiej, jest niezbędny. I oto niewątpliwy powód zwrócenia się Reymonta do powieści historycznej. Zadanie napozór proste, spiętrzyło się nieprawdopodobnie. Znakomity malarz „Chłopów” ujrzał się nagle w roli owego Niemca, który dla wywabienia plamy nauczył się gruntownie chemii. Rozpoczął się wertowanie pamiętników, badanie epoki, śledzenie żywota różnych zdrajców i „zelantów.” Przed wyobraźnią pisarza stanął olbrzymi obraz dla, na którym zarysowało się powsta-

nie kościuszkowskie, przesuwają się postacie za postaciami, sytuacje, zebrania, sejmy, spiski, narady, bale, miłości i miłości — i zabierają całe dwa tomy.

„Ostatni Sejm Rzeczypospolitej” — to prolog, odbywający się całkowicie w roku poprzednim, 1793, w Grodnie. Przedmiot obrazu — wstrząsający: okoliczności, które towarzyszyły ratyfikacji „traktatu” drugiego podziału. Z jednej strony bezden hańby: nikczemni zdrajcy, tajni i jawni, jurgielnicy i lotry, których „rozpoznasz nawet w nocy, bo już zdala cuchną padliną”; z drugiej — tragiczna garstka spiskowców, ukrywających czujnie każde gorące słowo polskiego patryotyzmu.

Całą otchłań nędzy polskiej w godzinie rozbioru maluje Reymont ze spokojem przerażającym. Stawia na jednym planie zainteresowań artystycznych zarówno blade, jałowe dialogi, zabawy, pikniki, umizgi, jak momenty zdrady i upadku, budzące głębokie oburzenie. Jest tym samym obserwatorem barw i szczegółów, gdy mówi o tańcu podczas balu, wyprawionego na cześć Sieversa, jak wówczas gdy odtwarza tragedję „niemego sejmku”, na którym uchwalono ratyfikację rozbioru Polski. Niekiedy oczekujemy od Reymonta — liryka mocniejszego akcentu osobistego, tak przecież zrozumiałego przy rozważaniu twórczym chwil podobnych. Liryzm ten przemawia w drobnych zaledwie szczegółach, trzymany zawsze jakby na uwięzi. Za to wszystko drga życiem w tym obrazie okropnym: najdrobniejsze figury stają przed oczyma widza przedziwne plastyczne, nie mające w sobie nic z książkowości i pedantyzmu szperaczów historycznych. W przeciwstawieniu dwóch światów, tego zgnilego, złożonego z Ankwiczków, Ożarówskich, Kossakowskich, Zabiellów etc. — ze światem przyszłych powstańców i obrońców ojczyzny, nie stara się Reymont o tendencyjną realizację „zelantów” i patryotów, o pogrążenie zaś w ostateczną hańbę wszystkich jurgielników Sieversa. Od pierwszej chwili wprowadza jakby żywe, czyste sumienie polskie, w osobie porucznika Zaręby wieloletni. Zaręba patrzy na wszystko, czuje niezbyt głęboko, ale — żarliwym żołnierskim sercem i wiedzy czytelnika z bagna upadku moralnego Rzeczypospolitej do — powstania.

Śród zarysów spisku, otoczonego atmosferą góraczego uczucia, daje Reymont w pierwszym tomie charakterystykę ludzi, którzy sprzedają Polskę na ostatnim sejmie; w tomie drugim, p. tytułem *Nil desperandum*, postępuje Reymont jakby zgodnie z teorią Kaczkowskiego: tworzy szeroki obraz życia różnych warstw narodu, aby na tem ogromnym tle przesunąć knowania powstańcze. Zaręba przyjeżdża do rodzinnego Grabowa. Gdyby chodziło o historję spisku w najdrobniejszych szczegółach, opisy życia wiejskiego, zajmujące znaczną część książki, nie byłyby niezbędne. Ale Reymont świadomie, czy nieświadomie, nie kładzie głównego nacisku na historję działań spiskowych. Maluje głównie obyczaj polski, zatrzymuje się nad życiem we dworze grabowskim. I tu temperament autora ponosi go niekiedy a jego realizm wpada w trywialność. Tylko nie myli go nigdy zmysł rzeczywistości, pocucie prawdziwego człowieka. Portret starego miecznika Zaręby, despoty, okrutnika i dziwaka, ale wielkiego

patryoty, jest wybitnem dziełem sztuki. W opowieściach z dawnego życia polskiego znajdziemy niewątpliwie pełno takich postaci, jak stary miecznik, jego żona, rezydenci, ojciec Hyacint. Figury Reymonta nie mają w sobie przecież nic z reminiscencji; każda otrzymała swój własny żywot organiczny, każda stała przed czytelnikiem z własną, wyraziście oznaczoną fizjonomią. A gdy autor wprowadzi typ własny, to go wyposaży w nadmiar życia, jak to się dzieje z panną Ceśką, pełną żywiołowości i bujności pierwszych, najdawniejszych figur powieściowych Reymonta. Eposowe zamiłowania porywają go nieustannie. Gdy zatrzyma się na chwilę przy knoaniach spisowych, to zaraz uczuwa potrzebę opisu, obrazu natury, żywiołu, walki. Porucznik Zaręba zerwał z ojcem, gdy ten chciał mu osmażyć umiłowanego sługę — żołnierza. Niebawem przecież wróci porucznik z Warszawy na wieś, aby... czytelnik mógł ochłonąć z miejskich wrażeń i aby jeszcze raz zobaczył cuda przyrody. Miał tu Reymont zadanie dość trudne: chciał pokazać starego miecznika z lepszej, ludzkiej strony, więc go stawia w ciężkiej chorobie, nad grobem; z drugiej strony pragnął skorzystać z tej powtarzanej bytności młodego Zaręby w Grabowie, aby na własną rękę próbować opisu kuligu, tyle razy w dawnych powieściach powtarzanego. Bliska śmierć miecznika nic mu w tem nie przeszkodziła; owszem wydobywa z niej efekt ciekawego kontrastu. A obraz kuligu budzi w nim znowu tego romantycznego malarza, znanego u nas z „Chłopów“, który w powiększonych widzi kształtach wszystkie przedmioty i ludzi.

O samej organizacji przygotowań powstańczych mówi Reymont w napomknieniach i postrzępionych dyalogach; pokazuje przelotne sylwetki niektórych działaczy, nie buduje przecież i nie odsłania rusztowania spiskowego. Wizyta u Kościuszki, kilka zebrań u jednego lub drugiego spiskowca, posiedzenie sekcji „Obrońców wolności“, nieco dyskusji o pracach przygotowawczych do powstania — oto najważniejsze ogniwa spisku. Wszystko inne stanowi wciąż tło. Nic konspiracji, dosyć cienka i rwąca się łatwo, wiąże luźne, ale niezmiernie żywe obrazy. Niekiedy Reymonta porywa prawdziwy szal opisowości, gdy po drodze do celu spotkał jakieś wybitne barwne momenty. Tak się dzieje np. podczas krótkiego pobytu Zaręby w Paryżu. Na przestrzeni jednego niewielkiego rozdziału, który ma znaczyć, iż zładę jest liczenie na pomoc francuską, usiłuje Reymont dać jaknajwyższy obraz Wielkiej Rewolucji. W gruncie rzeczy było to niemożliwe, mamy więc w tym rozdziale natłoczone a z furją rzucane takie obrazy: gilotynowanie Filipa Egalité, bujne życie w hotelu „Pod Doskonałym Sankiulotą“, wizyta u Robespierre'a, dyskusje kawiarniane, posiedzenie Konwentu, uroczystość „Święta Rozumu“ w Notre Dame. Nic dziwnego, że w takim nadmiarze wrażeń mógł Zaręba zapominać nieustannie o celu swej podróży. Ale jakże tu nie opowiedzieć, jak to wyglądało? jakże nie błysnąć tysiącami barw, gdy się spotyka temat tak przebogaty (mniejsza o to, że wielokrotnie wyczerpany) i — gdy się jest epikiem?

Zarówno czynnik rozkładu, jak odrodzenia Rzeczypospolitej nie stanowią w pierwszych dwóch tomach głównej ponęty narracyjnej. Najświeższe zdo-

bywa Reymont tryumfy, gdy opisuje codzienne życie „zwyczajnych“ ludzi miasta i wsi, a zwłaszcza — wsi.

Tom trzeci, ostatni zajmując Insurekcję właściwą, a raczej trzy jej chwile tryumfalne: przysięga Naczelnika na rynku krakowskim, bitwa Raclawicka oraz — powstanie warszawskie. Czytelnikowi pilno do — obrazu Bitwy Raclawickiej. Pamiętamy wszyscy, jak bardzo wizja świata chłopskiego była powiększeniem ludzi w ich wyrazie indywidualnym, wyolbrzymieniem tonów i żywiołów. Obecnie przy opisie zapasów raclawickich, chcemy oczekiwać nie tylko Bartosзовych chłopów, wciągniętych do walki z atletyczną muskularnością, jaką podziwialiśmy w „Chłopach“, ale spodziewamy się jednocześnie tego romantycznego rozmachu reymontowskiego, który wykochną w sercach legendę ujmując w formy gigantyczne i kreśli „płomieniste słowa, z których rosną lwy albo smoki.“ Wszak nie mylą nas przypuszczenia, że ten właśnie kulminacyjny punkt insurekcji stał się powodem napisania „Roku 1794.“

I oto zaszła okoliczność nieprzewidziana. Obraz raclawicki, stojący na tym samym poziomie wykonania artystycznego, co najpiękniejsze fragmenty „Chłopów“, mógł się narodzić w chwili rzetelnego natchnienia. Powiedzmy szczerze: natchnienie nie przyszło. Nie znaczy to aby stronnie opisu bitwy pod Raclawicami były szare. Talent Reymonta jest dostateczną gwarancją ich wyrazistości. Ale — pozostawiają nam tęsknotę do możliwych twórczych, które przepowiadało samo zwrócenie się Reymonta do tego tematu. Tęsknota owa wzrasta, gdy rozważamy świetne opisy rewolucyjnych dni warszawskich, 17 i 18 kwietnia. Nie Raclawice, ale opisy tych właśnie homeryckich bojów wyjarzmiającego się ludu warszawskiego stały się centralnym punktem powieści.

Batalistyczny pierwiastek, cokolwiek schematyczny i niepewny w opisie bitwy pod Raclawicami, tutaj uwydatniony został z wielkim talentem. Grają namienne, wre zacięta walka, pali się święty ogień zapалу, szal rewolucyjny bohaterskiej Warszawy występuje w całej plastyce i sile koloru.

Z postaci historycznych życia polskiego, musiał się Reymont zatrzymać dłużej w swej trylogii na czterech: Kościuszkę, król Stanisław August, Kiliński i Igelström. Kościuszkę jest pełnym prostoty i skromności, miękkości i szlachetności bohaterem, jakiego nam przekazała historia. Specjalną uwagą twórczą nie otoczył Reymont Naczelnika. Kiliński, świadomie niedociągnięty do poziomu świetnej o nim legendy, nie zajmuje w powieści miejsca wybitnego, nie wysuwa się po nad swą sferę, bywa już to szary, już to trywialny. „Ze był raptus i żywych pasy“, więc „groza położenia Rzeczypospolitej doprowadziła go do ciągłych wybuchów, ponsował z alternacyi, psiekriał i sadził dyablami, gdy rozmowa potoczyła się w tym przedmiocie;“ nie jest nigdy tym płomiennym trybunem ludu, z którego przelomowa chwila wydobywa nieznane władze, z instynktu rasy płynące. Fizjonomii króla nie często przygląda się Reymont pilnie. Nie dostrzega w nim rzeczy głębszych ani na chwilę; jest to zawsze tradycyja kukła, ta sama w Grodnie, co w Warszawie. Król drży o swoją skórę w momentach rewolucyjnych, a pozątem błyszczał tylko „dowcipem i czarował geniuszem wzię-

ków." Najpełniej wypadł portret Igelströma, malowany z temperamentem, niekiedy z pasją, ale w ostatnim tomie ukryty już w cieniu.

Gdyby cały rok 1794 był wyczerpany w powieści z tą samą obfitością narracji, musiałby Reymont napisać jeszcze kilka tomów. Zaniechał tego zamiaru. Na ostatniej stronnicy treści wypadki i kłęski aż do rzezi Pragi, przerażony obrazem, który zobaczył: „nieskończone ofiary, morza krwi, nadludzkie poświęcenia i bezgraniczne wysiłki."

Trylogia Kościuszkowska nie przyniosła niespodzianek twórczych. Ale przeżywając krwawą dobę pierwszego wyjarmienia się narodu, pogłębił Reymont siłę wizji artystycznej, wzbogacił ją o szereg tonów mocnych, świadczących o bujności i żywotności swego pięknego talentu.

JAN LORENTOWICZ.

MISCELLANEA.

Z ruchu umysłowego Francji podczas wojny.

"Znaczenie śmierci" Pawła Bourgeta. W styczniu, roku 1916, zjawiała się na półkach księgarskich w Paryżu najnowsza powieść Bourgeta p. t. „Le sens de la mort". Jest to roman à these o wyraźnej, zbyt wyraźnej ze stanowiska artystycznej tendencji religijnej, znaczącej już w „Démon du Midi" przełom w ewolucji autora, ongiś psychologa światowości (mondanité) i namiętności ludzkich.

Akcy, toczącą się na tle lazaretu wojennego we Francji, jest tylko tłem dla uwydatnienia założeń ideowych utworu. Przedstawicielami ich są profesor-ateista z jednej, młody, głęboko religijny porucznik-katolik z drugiej strony. Te dwie postacie, jako: też i żona profesora, koło której obraca się dramata istotny, domagają się szerszej analizy psychologicznej; przekraczającej ramy niniejszej notatki.

Strona ideowa przedstawia się jak następuje: Bourget broni dogmatu w imię jego użyteczności, dowodząc, że „empiryzm wieków" przemawia za prawdziwością wierzenia w osobowość Boga, w nieśmiertelność duszy oraz w konieczność ofiary. Bourget występuje przeciw determinizmowi, jako teorii antyetycznej, znoszącej wolność woli, zarazem i obowiązek i wybór podług sumienia.

Argumentacja autora jest równie słaba, jak zajmująca samym tematem i żywotnością ujęcia. Mięsza on stałe pojęcie „użyteczność" i „prawda", zamienia wartości ideowe z wartościami praktycznymi. Nie spostrzega, że „empiryzm wieków" nie może przemawiać za teptyczną słusznością dogmatu, ale tylko za jego znaczeniem utylitarно-społecznym, etycznym. Sama zaś treść wiary będąca po pierwsze symbolem niektórych rzeczywistości uczuciowych człowieka, powtórze metafizyczną konstrukcją myśli i wyobraźni — nie może mieć innego jak wewnętrzznego i, dodam, indywidualnego kryterium. Determinizm zaś, jak wiadomo, bynajmniej nie wyłącza wyboru i obowiązku; tylko, że p r a w a, skomplikowane i pośrednio działające, podług których odbywa się pozorne wolny proces psychiczny jednostki, niezawiesz i nawet niezczęsto są przytomne jej świadomości, tem więcej w stosunku do tejże czyn jest zależny od woli i momentu danego, zatem etycznie okrażny, odpowiedzialny społecznie.

Co do kwestyi nieśmiertelności, to autor, skłaniając się wiarą do uznania jej bezwzględnej w duchu Kościoła, pozostawia jednak raczej otwarte pytanie: czy śmierć jest ofiarą, czy wyzwoleniem? Czy jest celem, czy koniecznością bez przyczynowości wewnętrznej? Miejsami znać walkę dawnego Bourgeta z dzisiejszym i to wywarza niejednolitość myśli przy skonstruowanej zwartości kompozycyjnej. Całość przedstawia się interesująco, zmusza do refleksyi i do polemiki. Poszczególne spo-

strzeżenia nacechowane są głębią istotną i tą przenikliwą, ostrą inteligencją iście Bourgetowską.

Marya Rafałowiczówna.

Z powodu książki L. Dobrzyńskiej-Rybińskiej o systemie etycznym Hugona Kollataja.¹⁾

Nie należy do losu godnego zazdrości, być pisarzem filozoficznym. Nie czeka go wprawdzie taka nienawiść, jak poetów, z towarzyszącą jej w krótszym lub dłuższym czasie tym większą miłością, ale jest narażony na gorsze od wszystkiego niezrozumienie i brak uznania, trwający czasem wiek i dłużej. Los taki spotkał także i Hugona Kollataja.

Do zapomnienia go przyczyniło się prócz innego zapewne i to, że należał wraz ze Śniadeckim do empiryków, do zwolenników filozofii nie mającej nic wspólnego z pseudoracjonalizmem Kanta, zwanym krytycyzmem, i z romantyzmem późniejszych filozofów niemieckich, oraz z logicyzmem Hegla. Nad filozofią polską po Śniadeckim i Kollataju zawisły bowiem wymienione kierunki obeszładniającym i nieprzedartym tumanem przepuszczającym tu i owdzie tylko jaskrawe błyski jasnowidzeń racji, aniżeli, spokojne światło prawdy. Na drogi te zawrócił polską filozofię romantyzm. Zapomniano o filozofii oświecenia, o prawdach, na doświadczeniu opartych, z jakimi wystąpili Śniadeccy i Kollataj.

Walka Jana Śniadeckiego z Kantem odbyła się niestety bez echa, gdyż pogromca północnego uwodziciela umysłów, otrzymał był skądinąd śmiertelną ranę z tą chwilą, gdy romantyzm wziął górę nad klasycyzmem w poezji. Śniadecki bowiem nie tylko zwałzał Kanta, ale też poezję romantyczną. Zapomniano o Śniadeckim, zapomniano o Kollataju.

Zaczęło od nowa, podciąwszy korzenie dawniejsze, rodzime, poniechawszy pędów bujnych i godnych, by wyrosły w drzewa niebotyczne. Taki Trentowski n. p. wystąpił, jak prawdziwy homo novus, skartabell i świeczalka, albo jak drugi Schopenhauer, w sposób karceremny polrzykując, plwając i tupiąc, jakby przed nim filozofów polskich nie było, zniekształcając język polski w sposób aż niepoczytalny, jakby przed nim nie było wykształconego już polskiego języka filozoficznego. Libelt był poważniejszy, ale uległ Trentowskiemu, oddając mu pierwszeństwo w teorii poznania. Omawiając nas filozofię słowiańską, ledwie wymienia Śniadeckiego i Kollataja. Gołuchowski i Cieszkowski

¹⁾ Nadesłana nam pracę zamieszczamy na łamach „Zdroju" jako ciekawą rozprawę książki L. Dobrzyńskiej-Rybińskiej mimo, że nie godzimy się z autorem rozprawy na jego stanowisko filozoficzne i stosunek jego do poszczególnych w rozprawie tej wymienionych myślicieli. — Red.

waki szukali oparcia u filozofów niemieckich, idąc w zupełnie innym kierunku. Podobnie wygląda rzecz u Wrońskim i Kremerem, choć ci dwaj filozofowie objęli szersze horyzonty, czerpiąc natchnienie nie tylko z filozofii niemieckiej, ale i francuskiej. Tym samym może nawet w oczach Jana Śniadeckiego uniknęli częściowo przynajmniej tej „morowej” na język i oświecenie zarazy, którą zostali dotknięci i podane na półmisiemko prawdziwie uczonym Europy narodów Niemcy.”

Dopiero późniejsi historycy filozofii zaczęli wskazywać na Kollataja, jako na wyprzednika pozytywizmu. Zasłużyli się tu Limanowski i wielu innych. Z tego powodu trudno uwolnić świeżo zmarłego dziejopisę literatury polskiej, Stanisława Tarnowskiego, od zarzutu, że nieślusnie zbywa Kollataja, jako filozofa, kilku niedbale napisanymi zdaniem, jeśli można wogóle tego mówić raczej, aniżeli pisarza, zbyt ostro pociągając do odpowiedzialności za to, co pisze. Czytając Tarnowskiego i przypominając go sobie jak mówcę, przekonujemy się, że to, co się dobrze słyszy, jeszcze się dobrze nie czyta, i że te błędy, które przy słuchaniu uchodzą, przy czytaniu tym gorsze robią wrażenie. Pozatym i tak Stanisław Tarnowski, nawet przy omawianiu dzieł Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego zaniedbywał stronę filozoficzną w sposób prawie niedozwolony.

Całkowite wydobycie na światło dzienne filozoficznej myśli Kollataja należy poczytać za zasługę Straszewskiemu a także i poniekąd autorce książki System etyczny Hugona Kollataja — Ludwice Dobrzyńskiej-Rybickiej. Metoda, jaką stosuje Straszewski w książce Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porobiorowym, jest syntetyczna, metoda książki Dobrzyńskiej-Rybickiej jest analityczna.

U Straszewskiego wychodzi Kollataj jako umys, szeroki, nowy. W życiu jest to osobnik poważny, który wyrzekł się stanu duchownego nigdy, dla którego wiara nie była ciężarem, a który mimo to stawia w obronie ożenionego ekscypiera Wolskiego i uderza na fanatyzm i głupstwo, zakorzenione wśród duchowieństwa. Jako filozof jest Kollataj w oczach wybitnego krakowskiego myśliciela w zakresie poznawczym następcą Condillac'a, i Helwecjusza, w zakresie etyki ulega wpływowi Rousseau, a jest wogóle wyprzednikiem Comtęa, Bastiana, Tylora, Spencera, Lotzego, Avenariusza, Frobenjusza i Wundta. Poza tem wobec starożytnego świata jest Kollataj odnowicielem, wobec nowych zaś czasów odkrywcą teorii wczucia logicznego, oraz pojnowanie społeczeństwa, jako organizmu moralnego, w czym przypomina Erazma Majowskiego. W miejsce starego hasła św. Augustyna i Kartezjusza: „myśle, a więc jestem”, ustanawia prawidło, że „doznawanie czucia jest najpewniejszym dowodem” naszego istnienia. Z powodu wyrażenia „doznawanie czucia” znajduje Straszewski sposobność do słusznego pojęcia jednego z najnierozumniejszych tłumaczeń z rzymskiego, jakim jest „hękart” taki, jak „przeżycie” w miejsce niemieckiego „Erlebnis”, który się winien przeżyć, to zn. być wyrzuconym na śmietnik rzeczy raz na zawsze zaniechanych.

Straszewski daje syntezę filozofii Kollataja, pouczając, nakazując nam wierzyć w to, co pisze. Dobrzyńska-Rybicka analizuje, naprowadza na drogę, na której dochodzi do syntetycznych wniosków. Ale też profesor krakowski nie pisze książki osobnej o Kollataju, tylko wyklada o nim w toku swoich „dziejów”. Autorka nasza zaś wywleka do swojej pracy wyłącznie Kollatajowi poświęconej w nader ciekawy sposób niedrukowany rękopis jego, obejmujący pomysły do dzieła o porządku fizyczno-moralnym. [Pomyśla-

łszy opanować szerszy zakres od dzieła wydrukowanego i znanego powszechnie: Wykazują one bardziej jeszcze, niż Porządek sam, że Kollataj jest rzeczywiście wyprzednikiem Comtęa, a także i wielu filozofów współczesnych, a mianowicie pragmatystów. Wedle Kollataja władza poznania „nie jest nam dana dla próżnych badań, lecz dla pojęcia rzeczy, ile ich potrzebujemy”. Poznajemy rzeczy, ile jesteśmy z nimi związani przez własne potrzeby. Gdyby potrzeby nie nagły na nas, wszystkie istoty byłyby względem naszego badania obojętne”. Ale Kollataj nie poprzestaje na tem zdaniu; nie jest tak ciasny, jak współcześni pragmatyści. Obok „pragmatystycznej” strony w poznawaniu u człowieka uznaje „wrodzoną ciekawość widzenia i znania rzeczy”. Jest to stanowisko jedynie słuszne. Z pragmatystami i Comtęm, z jego „voir pour prévoir”, wie Kollataj, że pożyteczność wkłada pęta na władzę poznania, ale idzie dalej i wskazuje, że duch ludzki mimo to pęta owe zrywać się kuśi.

Po za stanowiskiem ogólnym w sferze poznawania podkreśla Kollataj znaczenie poznawcze rozróżniania. „Rzeczy, nieznanych inaczej sobie wyobrażać nie możemy, tylko przez utworzoną w myśli różnicę względem wyobrażenia rzeczy znanej”. Jest to złota prawdziwie myśl, jedna z podstaw relatywizmu, bodaj, czy nie najważniejsza prawda logiczna i psychologiczna. Tego samego zdania byli wszyscy „relatywiści”, do których należy między innymi w najnowszych czasach filozof tego pokroju, co Karol Renouvier. Relatywizm jest może najgłówniejszym zmianieniem ducha polskiego, kiedy istnieje w mowie naszej zwrot „do czegoś to podobne”. Podobieństwo i różnica dopełniają się. Relatywizm to przeświadczenie, że na zestawieniu różnic i podobieństw polega wszelka wiedza ludzka.

Kto tak, jak Kollataj, w czasach panowania aprioryzmu Kanta podkreśla idee nawskróś nowoczesne, a zarazem i odwieczne, ten nie zasłużył sobie na naiwny sąd Czapczyńskiego, że był „typem pisarza odtwórcy”. Jeżeli Kollataj ma być odtwórcą tylko, gdzie miejsce dla Kanta, chyba że reakcję i zaślepiiony upór w bronienu straconych stanowisk uznamy za coś nowego, chyba, że pomianiamy przezeń poprzednikami, jak Wolffem i Leibnitzem, i umyślnie zamilczenie tego, co od nich przejął, ratuje go od zarzutu odtwarzania!

Tak samo, jak teoria poznania i jej psychologiczne podstawy, tak też i psychologia uczuć Kollataja wykazuje, jak głębokim myślicielem był nasz filozof. Gdybyśmy i tu szli za jego jasną i szczerą myślą, a nie byli ulegli utudzie, czy nawet obłudzie Kanta w zwalczaniu hedonizmu i eudajmonizmu, byłibyśmy dawno tam, gdzie teraz dopiero zdążamy. Hedonizm i eudajmonizm stanowią jedynie szczerze stanowisko w etyce. Z pokrewnego z niemi egoizmu dadzą się zaś tak, jak i Kollataj już uczył, rzeczywiście wywieść wszelkie uczucia altruistyczne, z chwiłą, gdy z naszym myślicielem i z Majowskim uznamy, że społeczność jest organizmem i że człowiek do tego organizmu należy. Altruizm jest to egoizm i hedonizm rozszerzony na społeczność. W etyce chodzi o dobro, o dobro całości, złożonej ze zdrowych osobników, dbałych o całość a z nią razem i o siebie. Jak w organizmie komórka, nie troszcząca się o całość, a więc n. p. komórka raka, przyczynia się do zaguby całości, a później i siebie, tak też i egoista zbyt osobisty szkodzi społeczności, ale i sobie, więc przestaje być egoistą rozumny i staje się podobnym do raka skazanego na zatrutą z całym organizmem.

W tym samym rozdziale, w którym autorka omawia psychologię uczuć, napomyka też o teorii mowy Kollataja. Ciekawe jest tu przeciwstawienie mowy głosu i mowy działań. Gdyby nasz filozof nad mową szerzej był się rozwodził, docze-

kalibryśmy się zapewne wyników bardzo doniosłych, a może jakiej samostojnej estetyki. Wario się i teraz jeszcze zastanowić nad zdaniem takimi, jak: „Mowa głosu nie różni się od mowy działań.” (skrót autorki) „Jest tylko” (słowa Kollataja), obrona między ludźmi dlatego, że wygodniej służy do tłumaczenia się ze swego uczucia. Wszelako, gdy człowiekowi nie wystarczy, wraca on do mowy działań, — tak śmiech i płacz jest skutkiem niedostatku wytłumaczenia się z uczucia przez mowę zwyczajną.”

Kollataja teorię poznania i psychologię uczuć omówiła autorka w części pierwszej swojej pracy pod ogólnym tytułem *Porządek fizyczny*. Drugą część książki poświęca *Porządkowi moralnemu*. Eudajmonistyczna etyka Kollataja zgadza się z etyką Arystotelesa, Stoików i powiedzmy z góry, z etyką filozofów chrześcijańskich, Człowiek, jako istota polityczna Arystotelesa, ma przyrzoną rzeczy przyczyną prawo do szczęśliwości i to najwyższe, czy się zwie eudajmonizmem, a więc szczęśliwością w Bogu, czy też stanem łaski nie tylko posiłkującej, ale i uświęcającej. Wobec takiego szczęścia błąd i uściplić muszą niższe rodzaje szczęścia, jak dogadania zmysłom jedynie. Przestałby się ludzi raz na zawsze, że eudajmonizm i hedonizm każe nam przywiązywać wielkie znaczenie do rzeczy poziomych, niż do dóbr najwyższych. Przecio dla eudajmonisty takiego, jak Arystoteles, najwyższym dobrem było oglądanie prawdy i Boga, w czym filozofowie chrześcijańscy byli następcami jego. W każdym razie *Porządek moralny* Kollataja daje podstawy rozleglejsze, głębsze i słuszniejsze dla etyki, niż Krytyka praktycznego rozumu Kanta. Że Kollataj nie wywarł takiego wpływu w Polsce, jak Kant w Niemczech, wina w tym pójsia polaków na lep niemieckiej filozofii, wina upadku swobodnego życia w Polsce i rozwiązania tych szkół, których Konarski i Kollataj byli twórcami.

Z waszystkiego, cośmy powiedzieli o filozofii Kollataja wynika, że autorka książki o nim dokonała bardzo doniosłego czynu, albo mówiąc językiem naszego myśliciela zaaszyła się spełnieniem ważnej „sprawy”. Przypomniała nam zapomnianego filozofa i moralistę, wykazała, że godnym jest, by go do najpierwszych pisarzy policzyć.

K. F. Wize.

Der Krieg im Westen. Bernard Kellermann.

Najstraśliwsza wojna, która w potwornych zgrzytach w grzy obraca dotychczasowy porządek świata i na nowo kształtuje duszę narodową i duszę wszechludzką, w której do wściekłości rozpasano się najpodejsze ze stworzeń, człowiek — wierze, a jednocześnie żywiołowo bucha w niebo płonienie świętego uniesienia w walce nie, o byt już tylko materialny, lecz o byt Ducha, o byt Prawa, o byt Prawdy — wojna ta wydała całą powódź druków, przeważnie piśmiel najohydniejszych, układających się na ogromny pomnik hańby duszy ludzkiej. Jakże trudno znaleźć wśród tylu książek, broszur i ulotnych kartek rzecz głębszą, wyrastającą ponad tuman aktualności, co zalega ciężką chmurą nad Europą i widnokrepi pragnie zasłonić.

Jedną z książek wojennych, w których przemawia człowiek, jest „Wojna na zachodzie” Kellermanna. Autor powieści „Der Tor” przyjrzał się wojnie z bliska i doświadczył się w rytmie jej huraganu krzyku człowieka przejącego spętane ramiona do nowego życia. Wrażenie swe rzuca luźnymi szkicami na papier. Patrzy na wściekłość bitwy i na śmierci orgię jasnom i przenikającym okiem, nieprzycimionem łachmanem szowinizmu, wybujałego wyrazu zaśnieździej pychy. Jest patriota, który

szanuje wroga i od czei go nie odsadza. Nieraz nie dopowie myśli, unika zbyt dosłownych wyrazów — ale w nich jest siła... i prawda.

Pociąg pędził z łoskotem przez krwawą i łzami uziynioną głębą północnej Francji. Jeszcze wojna jest daleko. „Na wzgórza ardeńskie kładzie się słońce, wietrzyk głaszcząc, jaśnieje ożyminy. Pola uprawne, jak kobierzec czyste i kładne. Czasem tylko leży pola ziemi szara i zwędła, zapomniana i zdeptana, zaniedbana i stępiała niby człowiek bolejący. Widna na wiele mil Ludzie, którzy przed wojną nie uciekli, pracują na polach. Mało ich tylko widać garstki, które rozpylają się w słońcu. Odeszły rzesze, zrodzone przez tę ziemię urodzajną — a z rzesz tych wielu nie wróci. Cicho leżała przynajmniej legła na kraju.”

A nagle — widome znaki mordu:

„Na ieleżwach się w słońcu rolnach stoi szereg dział. Nowe jak świeża ruń trawy. Jeszcze one nie chęptały krwi, dziewicze armaty; puculowate, ciężkie, o skórce gładkiej i zimnej. Wsparcie na śpiżowych, kolistych błodach, niewinne jak młode tygrysy, wybałuszają kragle pyski w kierunku, skąd węża wroga, gnane instynktem swej rasy. — Pociąg gna dalej, mija dziewice, wciąż jeszcze ciekawie i głupowato w jedną patrzącą stronę — aż nikt nagle za górą kwiecie. Tak, armaty po szyję utoną w kwiatach, ale ogniem ziać nie przestają...”

Pociąg rwie w dół, szczy, warczy, dysze — gdy wtam głosy jego przyszuha twardy werbel bełna. Grzmia armaty.

I wchodzimy w sam wir bitew, opisanych z wspaniałym realizmem. Odpowiadamy żołnierzom gnających w okopach, widzimy ich nocne walki na ziemi i pod ziemią, słyszymy jęki ćwiartowanych ofiar, stajemy w głębokiej zadumie nad rumowiskami kwitnących miast. Rowy strzeleckie. Wyziera, z nich co kroki w stronę przeciwnika mały otwór, strzelnica. „Jest to okienko w zaświatach... Gdy żołnierz zbliży się do otworu, może weń w tej samej chwili z drugiej strony zajrzeć Śmierć i żołnierz zleknie się i padnie na wznak...” Krwawo obryzane nazwy, jak Langemarck, La Bassée, Ypres, Lorette, Arras, Souchez, Poelcappelle — wija się czerwona wstęga przez całą książkę. Odpowiadamy też odwieczne Bruges „la morte”, co śni dzisiaj „sen osobliwy, niepojęty a ciekawy, z którego jednak każdej chwili ltrwoga wytrąnąć może krwawym błępnia zygalskiem. Leży tak między snem i jawą z błogim uśmiechem na twarzy i z małą kropką zimnego potu na czole.”

Są chwile, w których autor zdaje się żalować dawnego systemu światowego, po którego gruzach dziś jeszcze toczą się armaty.

„Cała ta kraina w dole, od północy do południa, jest jednym jedynym olbrzymim polem bitwy, na którym rozszarpują się dwa narody, z woli przeznaczenia. Dwa narody, co posiadają katedry, wszechnice, muzea, szpitale, języki zdolne wyrazić najpotężniejsze myśli, dwa narody, z których każdy wydał męstwo blaskiem pochodni jaśniejących nad światem, z których każdy stworzył myśli panujące światu! — Teraz naprzeciw siebie leżą w norach ziemnych, z wolą napiętą ku zabijaniu, a ich armaty walą i dudnią. Obłoki granatów polzają po polach, blisko i daleko, wyrastają z wiosiek — wszędzie, kędy spojrzeć. I nie widać żadnego człowieka, żadnego pociągu, żadnego wozu, żadnej żywej duszy, jak pole długie i szerokie. Pod ziemię się schował człowiek przed człowiekiem.”

Czy drży w tych słowach odrobina żalu za przeszłością — czy raczej — no to słowa gorzkiej, z głębokiego umiłowania nieszczęścia, gorzkiej ironii? Słowa nacjonalisty czy CZŁOWIEKA...?

Prowadzi nas autor do oddziału jeńców francuskich, twierdząc w bitwie ujętych. Przyjmuje ich uprzejmy oficer. Często jeńców cygarami i herbatą. I jeńcy zapalają cygara.

„Cygara? Herbata? — Widzę, jak falą gniewu rozognia się twa twarz pocziwego obywatela z poza kufła piwa. Cygara, herbata? Wy ich...!! O nie. Polecam obywatelowi na jedną dobę pójść na wzgórze Lorette, nie dłużej, na jedną dobę — a ręczę, że znajdzie właściwą miarę. Widziałem generała salutującego oficera-jeńca. Salutował go szczególną uwagą i szacunkiem, salutował w nim męstwo przeciwnika, salutował francuską armję. Walczy się dzisiaj z tak nieopisaną zawziętością, ludzie rydlami czaszki sobie druzgoczą i trupów grzebać nie pozwalają — że podobna rycerskość wobec pojmanego wroga jest wprost nieoceniona. A zatem, pocziwy obywatelu — nie: Wy ich...!”

Wśród tysięcy wydawnictw o wojnie światowej książka Bernarda Kellermanna jest zjawiskiem godnym uwagi.

Olwid.

EKSPRESJONIŚCI.

Liczne zapytania dotyczące ekspresjonistów zniewalały nas do słówka wyjaśnienia o naszych zamiarach na przyszłość najbliższą. Chaos panujący w pojęciach o przejawach sztuki doby wczorajszej zmuszał nas dotąd do częstych wyjaśnień i poświęcenia bacnej uwagi prądom, które gdzieindziej wszechstronnie już zostały zglebione i poznane. Nie porzucając wymiany myśli z dziedziny zdobycy sztuki bez względu na czas ich powstania, a więc i zdobycy lat minionych, a utrzymując stałe zwięzłe między poszczególnymi przemianami twórczego wyrazu, uważamy za konieczne zwrócić uwagę czytelników naszych na prądy najnowsze, ujęte pod ogólną nazwą ekspresjonizmu, wyrażające się przecież w licznych a różnorodnych formach. W niniejszym zeszycie dajemy refleksje Stanisława Przybyszewskiego.

Niebawem zapoznamy czytelników z szeregiem rozważań pod najprzeróżniejszymi ujętymi kątami widzenia, aby ułatwić czytelnikowi stworzenie sobie samodzielnego poglądu na zagadnienia i zdobycze ekspresjonizmu.

W Polsce zaznaczył się ruch ekspresjonistyczny — całą wyrazistością przedewszystkiem w Krakowie i Poznaniu. Stojniowo zaznajamiamy będziemy czytelników z najnowszymi zdobyczami ekspresjonizmu w literaturze, malarstwie i rzeźbie.

Zeszyt I. trzeciego tomu „Zdroju” poświęcimy całkowicie ekspresjonistom polskim, którzy zgrupowali się pod nazwą „BUNT” — i równocześnie polecamy pilnej uwadze czytelników wystawę obrazów i rzeźb „Buntu”, która niebawem otwarta

będzie w Salonie „Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych” w Poznaniu.

Poczynimy dalej wszelkie starania, aby na łamach „Zdroju” zapoznać ogół nasz z utworami ekspresjonistów zakordonowych oraz — w miarę możliwości — obcych.

FISMA NADEŚLANE.

Muski zeszyt V: Jacek Małczewski — *Autoportret*. Arystofanes — *Pokój*, B. Butrymowicz — *Resztki olimpu*. A. O. — *Następca G. Hauptmanna*. J. Rundbaken — *Trwanie*. A. Schröder — *W smutny dzień*. M. de Noailles — *Pięść, żeby kiedys*. Francizek Miranda — *Wędrują duszy hofrata*. Przegląd: Al. Zelwerowicz — *Jak chciałem inscenizować „Pana Jowialskiego?”*

Zeszyt VI: Wł. St. Reymont — *Z ziemi chłemałkiej*. Arystofanes — *Pokój* (c. d.) R. Rolland — *Święty Krzysztof*. J. Laforgue — *Z łaski ziemi*. Fr. Miranda — *Sonet*. E. Zagladowicz — *Temat chłopski*. — Wł. Orkan — *Koniec romanu*, *Do Tymona*. Przegląd: Laura Konopnicka-Pytliska — *Pęguj*. Każ. Tetmajer — *Powieść liryczna*.

Zeszyt VII: L. Czechowaki — *Z ziemi podlańskiej*. Arystofanes — *Pokój* (dok.) Tad. Sinko — *Świat baśni*. Paul Claudel — *Pieśń Serca Kamiennego*, *Pieśń o Woni*. Fr. Miranda — *Lekcja rekina Fufu*. Przegląd: St. Lubieński — *Kantata Claudela*.

KSIAŻKI NADEŚLANE.

Stefan Buzczyński — *Rękopis z przyszłego wieku*. Fantazja społeczna z r. 1881. — Kraków, Drukarnia „Głosu Narodu” 1918.

Eugeniusz Jarka — *Idea Państwa u Platona i jej dzieje*. Warszawa, Gebethner i Wolff 1918.

Ze Ślaska Polskiego. Książka zbiorowa autorów śląskich. Nakładem Komitetu Wykonawczego. Drukiem „Nowin” w Opolu.

Z powodu braku miejsca w niniejszym numerze pomieszcimy objaśnienia, któreśmy dotychczas dawali w stałej rubryce „U postów” dopiero w następnym Nr.

OD REDAKCYI I ADMINISTRACYI.

Zeszytem niniejszym zamykamy „Zdroju” TOM DRUGI.

Zwracamy raz jeszcze uwagę, że prenumerata od 1-go kwietnia r. b. winno być: rocznie 40 mk., półrocznie 25 mk., kwartalnie 14 mk.

Na Austro-Węgry wynosi prenumerata: rocznie 64 kor., półrocznie 32 kor., kwartalnie 17 kor.

Prenumeratę zgłosić należy przed upływem bieżącego miesiąca, celem uniknięcia zwłoki w przesyłce oraz ze względu na niemożność podwyższenia nakładu mimo prawie całkowitego wyczerpania tegoż.

ERRATA.

Str. 66 zamiast Łosia winno być J. Łukasiewicz. Str. 100 zamiast opodaj winno być opodał. Str. 103 zamiast wymażonej winno być wymarzonej.

SPIS RZECZY.

TOM II.

BEDERSKI ADAM	
Uciezka .	107
Poeta a świat	161
BERENT WACŁAW	
Opowieść rybałta .	12, 43, 72, 138, 165
BUNIKIEWICZ WITOLD	
Dyabli młyn .	60
CHYBIŃSKI ADOLF	
Muzyka w Polsce po Chopinie	155
DICKSTEINÓWNA JULJA	
Posejdonia	105
DROBNIK JERZY	
Cykl sonetów	81
Tułacz	54
EICHENDORFF JÓZEF (tłom. Miriam)	
Dodźwięki, Nocą Późne wesele	163
FIEDLER ARKADY	
Dym	55
GOETHE J. W. (tłom. Miriam)	
Poezye	163
HEBBEL FRYDERYK (tłom. Miriam)	
Pieśń, nocna, Do nieznajomej, Dwaj wędrowcy, Wrażenia zmierzchowe	10
HULEWICZ JERZY	
Drzeworyty	107, 132, 182
Inicjały i winiety	1, 11, 12, 21, 24, 33, 35, 40, 42, 43, 50, 51, 61, 63, 68, 72, 77, 80, 98, 114, 117, 129, 135, 138, 161, 162, 165
J. H.	
Bywało, że nawet w Poznaniu	31
Sztuki plastyczne	93
JAROCKI WŁADYSŁAW	
Okładka do tomu II	
Inicjały i winiety	7, 103, 104
KARASEK ZE LVOVIC JERZY (tłom. M. Bunikiewiczowa)	
Genenda	108, 149
KELLER GOTFRYD (tłom. Miriam)	
Noc zimowa, Ich hab in kalten Wintertagen, Pieśń wieczorna	113
KOMENDA JÓZEF	
Kościuszek w świetle mesyanizmu	25, 56
KUBICKA M.	
Drzeworyt	123
KUBICKI STANISŁAW	
Więzień	8
Drzeworyty	8, 83, 148
KULIKOWSKA MARCELINA	
Pawilon Rodina na wystawie paryskiej	62
LORENTOWICZ JAN	
Listy literackie	157, 184
LUCZEWSKI KAZIMIERZ	
Preludium	9
MAETERLINCK MAURYCY (tłom. Miriam)	
Z „Piętnastu piosnek“	136
MARCINOWSKA JADWIGA	
Fragmenty z powieści „Anima mundi“	83, 118

MERRILL STUART (tłom. Miriam)	
<i>Piosnka wielkanocna</i>	136
MIEREŻKOWSKI DYMITYR (tłom. Miriam)	
<i>Z poematu „Śmierć”, Przed jutrznią, Błękitne niebo, Pieśń błazna</i>	41
MORACZEWSKI WACŁAW	
<i>Poeta a świat</i>	103
NERVAL GÉRARD (tłom. Miriam)	
<i>Fantazya</i>	136
NORWID CYPRJAN	
<i>Nieznane utwory</i>	97
NOWINA	
<i>Pieśń o miłości i śmierci Korneta Krzysztofa Rilke</i>	29
OKSZA	
<i>Winieta</i>	137, 164
OLWID	
<i>Der Krieg im Westen (Bernarda Kellermanna)</i>	189
PHILLIPS STEPHEN (tłom. Miriam)	
<i>Do Miliona-Słepca, Łazarz, Zwycięskie wyznanie</i>	69
PLATEN AUGUST (tłom. Miriam)	
<i>Z „Gazel”</i>	164
PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW	
<i>Obrachunki</i>	1, 36
<i>Memento</i>	126
<i>Poeta a świat</i>	126
<i>Powrotna fala</i>	169
RAFAŁOWICZÓWNA MARYA	
<i>Koniec epopei</i>	92, 124
<i>Z ruchu umysłowego Francji podczas wojny</i>	187
SKORUPKA STANISŁAW	
<i>O „Szlakiem duszy polskiej”</i>	30
SKOTAREK WŁADYSŁAW	
<i>Drzeworyty</i>	54, 55, 70, 71
SŁOWACKI JULJUSZ	
<i>Z „Genezis z Ducha”</i>	35, 68
<i>Z „Ułamków filozoficznych”</i>	135
<i>Z „Samuela Zborowskiego”</i>	162
STASIAK STEFAN	
<i>Poeta a świat</i>	65
<i>Rondo wiosenne</i>	183
SZMAJ STEFAN	
<i>Drzeworyty</i>	82, 91, 183
TAGORE RABINDRANATH (tłom. Jan Kasprówiec)	
<i>Ogrodnik</i>	21, 51, 77, 114
TETMAJER KAZIMIERZ	
<i>Poeta a świat</i>	33
TYC TEODOR	
<i>Sen nocy jesiennej</i>	18
VILLIERS DE L'ISLE ADAM (tłom. Miriam)	
<i>Wyznanie, Przebudzenie, Spotkanie</i>	137
WIZE KAZIMIERZ FILIP	
<i>St. Przybyszewskiego: Poznań ostoja myśli polskiej</i>	28
<i>Z powodu książki L. Dobrzyńskiej-Rybickiej o systemie etycznym</i>	
<i>Hugona Kollataja</i>	187
WRONIECKI JAN JERZY	
<i>Winieta</i>	59

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kłóścianki. — Przedstawiciel redakcji na Austro-Węgry:

Jakób Geszwind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen.

Odbito w druku w Poznaniu.



1938
285





NA TLE ZIEMI CHEŁMSKIEJ!!!

PRZYSIĘGA

NOWE LE WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA

UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM

SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „OSTOJA“

CENA MK. 5.70

CENA MK. 5.70

TREŚĆ: PRZYSIĘGA. ZABIŁEM. MATKA. PIELGRZYMKA DO JASNEJ GÓRY. JAŚKOWE AMBICJE. KOMURASAKI. WSPOMNIENIE.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
LUB WPROST

Z SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „OSTOJA“

POZNAŃ, PLAC WILHELMOWSKI 17 — TELEFON 5100

Stare

wina węgierskie

szlachetne krescencje magnackie i nadworne

w 1/2 butelkach i w 1/2 gąsiorkach.

- | | |
|-----------------|---------------------------|
| 1) rocznik 1848 | nr. 20. Słodki Tokaj |
| 2) " 1863 | " 17. Stary Tokaj nadw. |
| 3) " 1866 | " 18. Słodkawy Tokaj |
| 4) " 1868 | " 20a Lekki słodki Tokaj. |
| 5) " 1876 | " 3. Stary Tokaj nadw. |
| 6) " 1876 | " 14. Stary Tokaj nadw. |
| 7) " 1880 | " 22. Stary lekki Tokaj |
| 8) " 1883 | " 19. Stary Tokaj |
| 9) " 1889 | " 8. Stary Tokaj. |
| 10) " 1901 | " 10. Stary lekki Tokaj |
| 11) " — | " 4. Stary słodki Tokaj |

B. Kasprowicz

w Gnieźnie.

Stefanja Różycka

udziela

lekcji śpiewu
przygotowuje do sceny
i estrady koncertowej

poleca

do agencji teatralnych
i koncertowych

Kierownictwo artystyczne:
LUDOMIR RÓŻYCKI

Berlin - Halensee, Ringbahnstr. 10.
Tel. Uhl. 1434.

Zapisy od 20-tego Października.
Przyjmuje między 3—4.

S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pan		Dla dzieci		Dla panów	
Błuzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Kołnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Hałki	Kołnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

DRUKARNIA „PRACY“

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

PIEKARY 21

W POZNANIU

PIEKARY 21

POLECA SIĘ DO WYKONYWANIA

WSZELKICH PRAC DRUKARSKICH

GUSTOWNIE, SZYBKO I TANIO

TELEFON 3097

TELEFON 3097

Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwega, Schiedmayera, Hinkla, Horöglä, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktoryi 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

